

Kirył Bułyczow Przełęcz

W domu było wilgotno, meszki wiły się wokół kaganka, który dawno już należało zgasić, ale matka naturalnie zapomniała... Na dworze padało, było szaro i mroczno. Oleg niedawno się obudził i teraz po prostu wylegiwał się na pryczy. W nocy stał na warcie i bardzo się zmęczył odpędzając szakale, które całym stadem pchały się do spichrza i o mało go przy tym nie zagryzły. W ciele czuł pustkę i powszedniość, chociaż spodziewał się raczej zdenerwowania, niepokoju, może strachu. Przecież to na dwoje babka wróżyła - wrócisz, czy nie wrócisz. Pięćdziesięcioprocentowa szansa. A pięćdziesiąt do kwadratu? Do szczęścia?... Powinny być jakieś wzory, tablice, bo tak, to człowiek wciąż od nowa wynajduje rower. A propos, ciągle zapominał zapytać Starego, co to jest rower. Paradoks. Rower jeszcze nie został wynaleziony, a Stary ciągle powtarza to zdanie, nie zastanawiając się nad jego sensem.

Z kuchni dobiegł kaszel matki. Okazuje się, że jest w domu. A Oleg myślał, że poszła na grzyby.

- Dlaczego jesteś w domu? - zapytał.
- Obudziłeś się? Chcesz zupy? Właśnie podgrzałam.
- A kto poszedł na grzyby?
- Marianna z Dickiem.
- Nikt więcej?
- Może któryś z chłopaków.

Matka weszła do pokoju, rozpędziła dłonią meszki, zdmuchnęła kaganek.

Dom był przedzielony na pół i w drugiej połowie mieszkał Stary i bliźniaki Durowów. Przygarnął ich, kiedy starsi umarli. Bliźniaki ciągle chorowały - kiedy jeden wyzdrowiał, to drugi zaczynał - i gdyby nie ich conocne piski, Oleg nigdy w życiu nie zgodziłby się na wartowanie po ciemku.

- I po co ty tam idziesz? - powiedziała matka. - Przecież nie dojdziecie! Dobrze będzie, jeśli w ogóle sami stamtąd wrócicie!

Teraz matka się rozpłacze. Często ostatnio płacze. Prawie co noc. Olegowi wstyd się przyznać, iż żal mu matki, która rozpaczliwie tęskni za tym, co dla niego nie istnieje. Lamentuje na myśl o krajach, których nie można zobaczyć, o ludziach, których nigdy tu nie było. Matka siedzi przy stole i ręce, twarde i pokryte odciskami, położyła przed sobą. No płacz już, czemu nie płaczesz? A może teraz wyjmie fotografię? Jasne, przysunęła sobie pudełko, otwiera je. Wyjmuje zdjęcie.

Na fotografii jest ona i ojciec. Oleg tysiąc razy oglądał już to zdjęcie i próbował dopatrzyć się swego podobieństwa do ojca. Ojciec i matka są na tym zdjęciu bardzo młodzi, bardzo weseli i odświętni. Ojciec jest w mundurze, a matka w sukni bez rękawów, która nazywa się sarafan. Wtedy Olega jeszcze nie było na świecie. Dwadzieścia lat temu jeszcze go nie było, a piętnaście lat temu już był.

- Matko - powiedział Oleg. - Nie trzeba tak, daj spokój.

- Nie puszczę cię - powiedziała matka. - Nie puszczę cię i koniec. Po moim trupie.

- Matko - powiedział Oleg i usiadł na pryczy. - Nie mówmy już o tym, dobrze?

Wstał i poszedł do kuchni. W kuchni był Stary, który właśnie rozpałał ogień.

- Pomogę - powiedział Oleg. - Trzeba zagotować wodę?

- Tak - odparł Stary. - Dziękuję. Mam przecież lekcję. Przyjdź do mnie później.

x
x

x
x

Marianna nazbierała pełen worek grzybów. Poszczęściło się jej. Inna rzecz, że musiała iść daleko, aż do wąwozu. Z Olegiem nigdy by się nie zdecydowała zapuszczać tak daleko, ale przy Dicku czuła się bezpiecznie i spokojnie. Dlatego, że Dick czuł się spokojnie. Wszędzie. Nawet w lesie, chociaż bardziej lubił step. Był myśliwym, chociaż urodził się zanim powstała ich wioska.

Las był rzadki, poskracany, drzewa w nim rosły niewiele ponad głowa

człowieka i zaczynały odchyłać wierzchołki na boki, jakby bały się wysunąć z masy sąsiadów. I słusznie. Zimowe wiatry natychmiast odłamią wystający wierzchołek. Z igieł kapało. Deszcz był zimny i Mariannie zmarzła raka, w której niosła worek z grzybami, przełożyła go więc do drugiej ręki. Grzyby poruszyły się w worku, zaskrzypiały. Bolała dłoń. Skaleczyła ją sobie, kiedy wykopywała grzyby na skraju wąwozu. Dick od razu wyjął jej drzazga, żeby nie było zatrucia. Nie wiadomo, co to była za igielka. A Marianna łyknęła jeszcze trochę gorzkiej odtrutki z buteleczki, którą zawsze nosiła na szyi.

Koło białych, grubych i śliskich kurzeni sosny Marianna zauważyła fioletową plamkę.

- Poczekaj, Dick - powiedziała. - Tam jest kwiatek, jakiego jeszcze nie widziałam.

- Może obejdiesz się bez kwiatków? - zapytał Dick. - Czas do domu. Coś mi się tutaj nie podoba.

Dick miał niezwykłego nosa, jeśli chodzi o rozmaite niebezpieczeństwa. Zawsze należało go słuchać.

- Chwileczkę - powiedziała Marianna i podbiegła do pnia.

Gąbczasta, miękka, błękitnawa kora sosny lekko pulsowała ssąc woda, a korzenie podrygiwały, przesuwały się z miejsca na miejsce i wypuszczały nibynóżki, aby nie uronić nawet kropli deszczu. Między nimi rósł kwiatek. Zwyczajny kwiatek, fiołek. Tylko o wiele ciemniejszy i większy od tych, które rosły koło wioski. I ze znacznie dłuższymi kolcami. Marianna gwałtownym ruchem wyszarpnęła dołek z ziemi; żeby kwiatek nie zdążył zaczepić się korzeniem o sosna i po chwili fiołek był już w worku z grzybami, które zaczęły się tak głośno roić, że dziewczyna aż się roześmiała. I dlatego nie od razu usłyszała krzyk Dicka:

- Padnij!

Jednak podświadomie zareagowała na ten krzyk, skoczyła do przodu, padła na ziemię, wtuliła się w ciepłe, pulsujące korzenie sosny. Ale zbyt późno. Twarz jej płonęła, jakby ją kto oblał wrzątkiem.

- Oczy! - krzyczał Dick. - Oczy ocalały?

Szarpnął Mariannę za ramiona, posadził, oderwał od korzeni jej zdrętwiałe z bólu palce.

- Nie otwieraj oczu! - rozkazał i szybko zaczął wyciągać z twarzy malutkie, cienkie igielki. Powtarzał przy tym gniewnie: - Idiotko, przecież ciebie nie wolno puszczać do lasu! Trzeba słuchać, jak się do ciebie mówi. Boli, co?

- Boli.

Nieoczekiwanie rzucił się na nią i powalił na korzenie.

- Boli!

- Jeszcze jeden przeleciał - powiedział Dick wstając. - Potem zobaczysz. Rozbił się na moich plecach.

Następne dwie kule przeleciały o jakieś trzy metry od nich. Sprężyste, splecione z igiełkowatych nasion, ale lekkie jak powietrze, bo puste w środku, będą latać, dopóki nie uderzą przypadkiem w drzewo lub dopóki poryw wiatru nie rzuci ich na skała. Milion tych baloniastych kul zginie na próżno, ale jedna znajdzie swojego niedźwiedzia, naszpikuje igiełkami ciepłe cielsko i wyrośnie nowymi padami. Te kule są bardzo niebezpieczne i w sezonie ich dojrzewania trzeba w lesie zachowywać wielką ostrożność, żeby potem przez całe życie nie nosić śladów na twarzy.

- Dużo jest ranek? - zapytała cicho Marianna.

- Nie bój się, i tak będziesz ładna - powiedział Dick. - Teraz trzeba jak najszybciej wracać do domu, posmarować tłuszczem, bo inaczej opuchniesz.

- Tak, masz rację. - Marianna przesunęła dłonią po twarzy, Dick to zauważył i odtrącił rękę.

- Zwariowałaś? Zbierałaś grzyby, zerwałaś kwiatek. Chcesz zakazić ranki?

Grzyby tymczasem wygramoliły się z worka, rozpełzły się między koszenie, a niektóre nawet zdążyły do połowy zagrzebać się w ziemi. Dick pomógł Mariannie je pozbierać. Fiołka nie znaleźli. Potem Dick oddał Mariannie worek, gdyż nie chciał mieć zajętych rąk. W lesie o życiu decydują sekundy, a więc ręce myśliwego zawsze muszą być wolne.

- Spójrz - powiedziała Marianna biorąc worek. Jej chłodna, twarda dłoń z połamanymi paznokciami zatrzymała się przez moment na jego ręce. - Bardzo jestem oszpecona?

- Nie bądź śmieszna - powiedział Dick. - Wszyscy mają kropki na twarzy. Ja też. I co, jestem oszpecony? To tatuaż naszych czasów.

- Tatuaż?

- Zapomniałaś? Stary uczył nas na historii, że dzikie plemiona umyślnie się tak ozdabiały. W nagrodę. Nie potrafisz tego zrozumieć, bo zawsze gapiałaś się w okno.

- Ale to były dzikusy - powiedziała Marianna. - A mnie boli.

- My też jesteśmy dzikusami.

Dick już wysunął się do przodu i szedł nie odwracając głowy. Marianna jednak wiedziała, że chłopak wszystko słyszy. Ma słuch myśliwego. Marianna przeskoczyła przez szary pęd drapieżnej liany.

- Potem tak będzie swędziało, że nie potrafisz usnąć. Najważniejsze, żeby nie drapać, wtedy nie będzie żadnych śladów. Ale wszyscy rozdrapują.

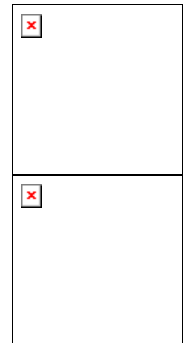
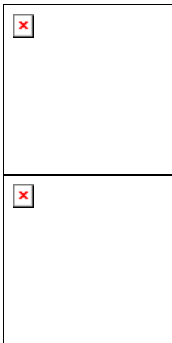
- Ja nie będę - powiedziała Marianna.

- We śnie zapomnisz się i rozdrapiesz.

- Czujesz coś? - zapytała, spostrzegając, że Dick rusza szybszym krokiem.

- Tak - odpowiedział. - Zwierzęta. Pewnie szakale. Całe stado.

Zacięli biec, ale w lesie trudno jest biec szybko. Ci, którzy biegną na oślep, stają się posiłkiem liany albo dębu. Grzyby wierciły się w worku, ale Marianna nie chciała ich wyrzucać. Już wkrótce będzie poręba, a potem wioska. Przy ogrodzeniu zawsze ktoś dyżuruje. Zobaczyła, że Dick wydobyl z za pasa nóż i wygodniej uchwycił kuszę. Ona również wyciągnęła nóż z za pasa, ale jej nóż był wąski i cienki, dobry do wycinania lian albo do wykopywania grzybów. Kiedy jednak dopędza człowieka stado szakali, wtedy nóż nic nie pomoże, lepiej uzbroić się w jakiś kij.



Oleg dojadł zupę i odstawił garnek z gęstym wysoko na półka, żeby nie dostały się do niego szczury. Uprzedzając pytanie matki, powiedział:

- Zaraz przyjdę.

Tymczasem wyszedł na ulicę i popatrzył w jej koniec, w stronę bramy w ogrodzeniu, przy której stał Tomasz z kuszą w ręku. W pozie Tomasza wyczuwało się napięcie. Niedobrze jest, pomyślał Oleg. Niedobrze, wiedziałem o tym. Dick zaprowadził ją gdzieś daleko i tam coś się stało. Dick nie zastanawia się nad tym, że Marianna jest zupełnie inna niż on, że jest jeszcze małą dziewczynką, którą trzeba się opiekować.

- Co się dzieje? - zapytał Tomasz.

- Wygląda na to, że szakale znów się włóczą. Całe stado - odpowiedział Tomasz nie odwracając głowy.

- Te same, co w nocy?

- Nie wiem. Dawniej szakale za dnia nie chodziły. A ty czekasz na Mariannę?

- Tak. Poszła z Dickiem na grzyby.

- Wiem, sam ich wypuszczałem. Ale nie denerwuj się. Z Dickiem nic się jej nie powinno przytrafić. To urodzony myśliwy.

Oleg skinął głową. W tych słowach kryła się obraza, chociaż Tomasz nie chciał obrazić Olega. Po prostu było tak, że z Dickiem można się było czuć bezpieczniej.

- Ja wszystko rozumiem - uśmiechnął się nagle Tomasz. Opuścił kuszę i oparł się o słup ogrodzenia. To jednak jest kwestia priorytetu. W niewielkiej społeczności, powiedzmy w plemienu podobnym do naszego, zdolności powiedzmy matematyczne są nieco mniej warte od umiejętności zabicia niedźwiedzia. Może to niesprawiedliwe, ale wytłumaczalne.

Tomasz uśmiechnął się bardzo sympatycznie, jego cienkie i długie wargi wyginały się tak, jakby nie mogły zmieścić się w twarzy. Twarz miał bardzo ciemną, pokrytą głębokimi zmarszczkami, a oczy jeszcze ciemniejsze niż twarz. I żółte białka. Tomasz miał chorą wątrobę i całkiem od tego wyłysiał. Poza tym miał słabe płuca i często kaszlał. Ale mimo wszystko Tomasz był bardzo wytrzymały i najlepiej znał drogę do przełęczy.

Tomasz podrzucił kuszę do ramienia i nie celując wypuścił strzałę. Oleg spojrział dokąd z cienkim gwizdem pomknęła strzała. Szakal nie zdążył odskoczyć. Wypadł z zarośli jak gdyby krzaki dotychczas utrzymywały go w powietrzu, a teraz puściły. Zwalił się na trawę, drgnął i znieruchomiał.

- Mistrzowski strzał - powiedział Oleg.

- Dziękuję. Warto byłoby go zaraz stamtąd zabrać. Zanim wrony się nie zlecały.

- Przyniosę go - powiedział Oleg:

- Nie - odparł Tomasz. - On tam nie był sam. Lepiej poleć po swoją kuszę. Kiedy dzieciaki będą wracać, będą musiały przedzierać się przez stado. Ile ich tam jest?

- W nocy naliczyłem sześć sztuk - powiedział Oleg.

Czarna paszczyka szakala była rozdziawiona, biała sierść sterczała wokół niej jak długie igły.

Oleg odwrócił się i ruszył po kuszę i w tym samym momencie zatrzymał go gwizd Tomasza. Głośny, słyszalny w każdym zakątku wioski. Wszyscy na pomoc!

Biec z powrotem? Nie, lepiej po kaszę! To nie zajmie nawet minuty.

- Co tam się stało? - zapytała matka stojąca w drzwiach. Odepchnął ją, zerwał ze ściany Muszę, omal nie łamiąc haka. Gdzie są strzały? Pod stołem? A może bliźniaki je zwędziły?

- Strzały są za kuchnią - powiedziała matka. - Co się stało? Coś z Marianną?

Stary wybiegł z dzidą. Nie umiał strzelać z kuszy, a zresztą jak to robić jedną ręką? Oleg wyprzedził Starego i wyciągnął strzałę z kołczanu, chociaż w biegu nie powinno się tego robić. Cała dzieciarnia wioski pędziła w stronę ogrodzenia.

- Wracajcie! - krzyknął Oleg groźnym głosem, ale naturalnie nikt go nie usłyszał.

Obok Tomasza stał już Siergiejew z wielkim łukiem w rękach. Mężczyźni stali nieruchomo i wsłuchiwali się w odgłosy dobiegające z zarośli. Siergiejew uniósł rękę bez dwóch palców rozkazując w ten sposób tym, którzy dobiegali do bramy znieruchomieć.

I wtedy z szarej, równej ściany lasu dobiegł krzyk człowieka. Krzyk był daleki i krótki, a gdy zamilkł, nastąpiła głęboka cisza, gdyż nikt w wiosce nie odważył się teraz nawet głóśniej odetchnąć. Zamilkły nawet niemowlęta w kołyskach. Oleg wyobraził sobie, nie, nawet zobaczył, jak tam, za ścianą deszczu i białawych pni, przyciśnięta plecami do ciepłej i palącej kory sosny stoi Marianna. A Dick, klęcząc na jednym kolanie, usiłuje ręką rozdartą zębami szakala ująć silniej dzidę...

- Stary! - krzyknął Tomasz. - Borys! Zostaniesz przy ogrodzeniu. Oleg, biegnij za nimi!

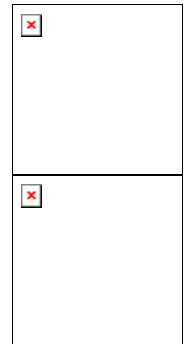
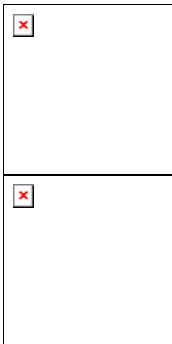
Przy lesie dopędziła ich ciocia Luiza ze swoim słynnym tasakiem, którym w tym roku odegnała niedźwiedzia. W drugiej ręce niosła płonąca głównię. Ciocia Luiza była wielką, grubą i straszliwą kobietą krótkie siwe kosmyki sterczały jej na wszystkie strony, a workowata peleryna nadęła się jak balon. Nawet drzewa lekliwie wciągały korzenie i skręcały liście, gdyż ciocia Luiza wyglądała jak Bogini Zemsty, jak zły duch, który zimą ryczy i wyje w Wąwozie. I kiedy ciocia Luiza potknęła się o drapieżną lianę ta, zamiast schwytać ofiarę swoimi mackami, odskoczyła w kierunku pnia i ukryła się za nim, jak tchórzliwa żmija.

- Tutaj! - krzyknęła Marianna. Głos jej rozległ się zupełnie blisko.

Dziewczyna nawet nie krzyknęła, tylko zawołała, jak woła się kogoś z drugiego końca wioski. A potem, kiedy znów ruszyli biegiem, Oleg usłyszał głos Dicka, a właściwie ryk, przypominający ryk dzikiego zwierza, i wściekle, głucho ujadanie szakala.

Marianna, zupełnie jak w widzeniu Olega, stała z plecami wciśniętymi w miękki biały pień starej grubej sosny, który zapadł się do środka, jakby ją chciał osłonić. Ale Dick nie klęczał. Dick opędzał się nożem od wielkiego siwego szakala, który wił się jak wąż, aby uniknąć ciosu, ale stale atakował. Jeszcze jeden szakal leżał opodal na ziemi ze strzałą w boku. I co najmniej pięć sztuk siedziało sobie dalej rzędkiem, jak widzowie. Szakale mają taki dziwny zwyczaj. Nie napadają hurmem, tylko czekają. Jeśli pierwszy nie da sobie rady z ofiarą, wtedy do roboty bierze się następny. I robią to aż do skutku. Nie żałują siebie nawzajem. Po prostu tego nie rozumieją. Siergiejew, kiedy zrobił sekcję jednego szakala, nawet mózgu w nim nie znalazł.

Szakal, który wciąż usiłował wyrwać Dickowi nóż, nagle zwałił się na bok. Z długiej szyi sterczała mu strzała. Okazuje się, że Tomasz zdążył wystrzelić, kiedy Gleg przyglądał się scenie walki na polanie. W ciągu tej sekundy, kiedy Oleg patrzył i próbował zorientować się w sytuacji... A Dick, jakby tylko na to czekał, natychmiast obrócił się w stronę pozostałych szakali i rzucił się na nie z dzidą. Przy nim byli już Siergiejew i ciocia Luiza z tasakiem i głownią. I zanim szakale pojęły, że pora im uciekać, dwa z nich wyzionęły ducha, a pozostałe zwinęły się w pierścienie, płaskimi, łuskowatymi ogonami przykryły nagie ciemiona i potem się w gąszcz. Nikt za nimi nie pobiął.



W drodze do wioski Dicka zaczęła trząść febra, bo ukąszenie szakala nikomu jeszcze nie wychodziło W na zdrowie. Wszyscy od razu poszli do domu Veitkusa. Veitkus był chory i leżał, a jego żona Aggie wydobyła z apteczki - skrzynki stojącej w rogu pokoju - okłady przeciwbólowe i nalewkę przeciwko jadowi szakala, potem przemyła Dickowi ranę i kazała mu położyć się spać. Marianna chciała go odprowadzić, ale Dick jej na to nie pozwolił. Za godzinę lub dwie gorączka spadnie, a Dick nie lubił, żeby go ktoś oglądał, kiedy jest obolały lub chory.

Aggie postawiła na stole miskę z cukrem pędzonym z kłączy bagiennej osoki. Tylko ona i Marianna wiedziały, jak odróżnić słodką osokę od zwyczajnej. No i malcy, którzy potrafią wyczuć, która trawa jest słodka, a której nie wolno nawet dotknąć. Potem Aggie nalała do kubków wrzątku i każdy sam nabierał sobie łyżką gęsty i szary syrop... U Veitkusów obywa się bez ceremonii. Do nich wszyscy lubią chodzić.

- To nic groźnego? - zapytał Tomasz gospodynię, jakby już trzy razy nie pytał o to samo.

- Na nim wszystko goi się jak na psie - odpowiedziała Aggie.

- A jednak masz wątpliwości? - zapytał Siergiejew Tomasza.

- Nie mam żadnych - odparł Tomasz. - Bo nie mamy innego wyjścia. Proponujesz czekać jeszcze trzy lata? Do tego czasu wszyscy wymrzemy z wycieńczenia i biedy.

- Nie wymrzemy - odezwał się z pryczy Veitkus. Broda i szopa włosów na głowie zasłaniały całą twarz. Widać było jedynie czerwony nos i jasne plamy oczu. Nie wiadomo skąd wydobywał się cienki, piskliwy głos. - Po prostu ostatecznie zdziczujemy.

Oleg już nieraz słyszał takie rozmowy. Teraz to już przecież pusta gadanina. Postanowił pójść do spichlerza, gdzie Stary z uczniami ściągał skóry z zabitych szakali, i porozmawiać ze Starym. Po prostu pogadać. Potem jednak spojrzął na miskę z syropem i zaczerpnął niepełną łyżkę. Wprawdzie swoją część zjadł w domu z matką już w zaprzeszłym tygodniu, ale tutaj też nie przyszedł się obierać.

- Wyobraź sobie, że wyprawa zakończy się tragicznie - powiedział Siergiejew.

- Nie mam na to ochoty, skoro mam w niej uczestniczyć - odparł Tomasz. Veitkus się roześmiał, zabalgotał środkiem brody.

- Chłopcy, Dick i Oleg, to nadzieja naszego osiedla, jego przyszłość. Ty zaś jesteś jednym z czterech ostatnich mężczyzn.

- Dodajcie do tego rachunku mnie - powiedziała basem Luiza i zaczęła hałaśliwie dmuchać w kubek, żeby ostudzić wodę.

- Nie przekonasz mnie - powiedział Tomasz. - Ale jeśli tak bardzo się boisz, zostawmy Mariannę na miejscu.

- To prawda, że lękam się o córkę. Ale teraz rozmawiamy o sprawach bardziej zasadniczych.

- Pójdę namoczyć grzyby - powiedziała Marianna i zwinnie wstała z miejsca.

- Skóra i kości - powiedziała ciocia Luiza patrząc na nią. - Dosłownie

skóra i kości.

- Przechodząc obok ojca, Marianna musnęła jego ramię koniuszkami palców. Siergiejew uniósł trójpalczystą dłoń, aby pogłodzić rękę córki, ale Marianna wysliznęła się i ruszyła ku drzwiom.

- Dziękuję za poczęstunek - powiedziała ciocia Luiza.

- Zupełnie nie rozumiem, jak ci się udało utyc - rzucił Tomasz, patrząc jak ogromne ciało ciotki Luizy toczy się ku drzwiom.

- Nie utylałam, tylko spuchłam - odparła Luiza nie odwracając głowy. W drzwiach zatrzymała się i powiedziała do Olega. - Przez to całe zamieszanie zapomniałeś wpaść do Krystyny. Czeka ją tam na ciebie. To nieładnie.

Jasne, że nieładnie! Powinien zająrzeć tam już godzinę temu. Oleg poderwał się z miejsca.

- Już idę.

- No dobra, ja alko tak, dla dyscypliny - mruknęła ciotka Luiza. - Sama tam zająrzę. Nakarmię swoje sieroty i wpadnę.

- Nie trzeba.

Oleg wyskoczył na ulicę tuż za ciocią Luizą. Poszli razem. Nie musieli iść daleko. Całą wioskę można obieć w ciągu dwóch minut. Naokoło, wzdłuż ogrodzenia.

Dom Krystyny był przedostatni. Za nim stał tylko dom Dicka. Ciocia Luiza mieszkała naprzeciwko.

- Nie boisz się iść na wypraw? - zapytała ciocia Luiza.

- Trzeba - powiedział Oleg.

- Odpowiedź godna męża. - Ciocia Luiza uśmiechnęła się nie wiedząc czemu.

- A Siergiejew Marianny nie puści? - zapytał Oleg.

- Pójdzie twoja Marianna, pójdzie.

- Nic się nam nie stanie - powiedział Oleg. - Czwooro ludzi. Wszyscy uzbrojeni. Nie pierwszy raz w lesie.

- W lesie rzeczywiście nie pierwszy raz - zgodziła się Luiza. - Ale w górach jest zupełnie inaczej. Zatrzymali się między domami Krystyny i Luizy. Drzwi u Luizy był uchylone. W szparze błyszczały oczy - Kazik, przybrany syn, czekał na cioci.

- W górach jest strasznie - powiedziała Luiza. - Zapamiętałam na całe

życie, jak wędrowaliśmy przez góry. Ludzie zamarzali dosłownie w oczach. Prawie co rano nie mogliśmy kogoś dobudzić...

- Teraz mamy lato - powiedział Oleg. - Nie ma śniegu.
- To tylko legenda i pobożne życzenia. W górach śnieg leży zawsze.
- Jeśli nie będzie można przejść, to wrócimy.
- Wracajcie. Lepiej wracajcie.

Luiza skrzyła do swoich drzwi. Kazik zapiszczał z radości. Oleg pchnął drzwi domu Krystyny.

U Krystyny było duszno, cuchnęło czymś kwaśnym, pleśń pokryła już całe ściany niczym tapetą i chociaż była jaskrawa, żółta i pomarańczowa, w pokoju nie było przez to jaśniej. I kaganek się nie palił.

- Cześć - powiedział Oleg, przytrzymując drzwi, żeby zorientować sil, co dzieje się w ciemnym pokoju. - Nie śpicie?

- Och - powiedziała Krystyna. - Przyszedłeś jednak, a już myślałam, że nie przyjdiesz. Sądziłam, że zapomnisz. Jeśli wybieracie się w góry, to po co macie o mnie pamiętać.

- Oleg, nie słuchaj jej - powiedziała cicho, bardzo cicho, niemal szeptem Liz. - Ona warczy. Na mnie też warczy. Od rana do nocy. Mam tego dość.

Oleg wymacał stół, przesunął po nim rękoma, żeby znaleźć kaganek, wyjął z torebki przy pasie hubkę i krzesiwo.

- Czemu siedzicie bez światła? - zapytał.
- Olej w kaganku się skończył - powiedziała Liz.
- A gdzie jest butelka?
- Nie mamy oleju - powiedziała Krystyna. - Komu potrzebne są dwie bezradne kobiety? Kto przyniesie nam trochę oleju?

- Olej jest na półce, po twojej prawej ręce - powiedziała Liz. - Kiedy wyruszacie?

- Po obiedzie - odparł Oleg.

Odszukał na półce butelkę z olejem, nalał do kaganka i zapalił go. Od razu zrobiło się widno. Światło padło na szeroką pryczę, na której pod skórą leżały obok siebie Krystyna i Liza.

- Oleju starczy wam jeszcze na tydzień - powiedział Oleg. - Potem Stary przyniesie. Nie oszczędzajcie, bo nie ma sensu siedzieć po ciemku.

- Szkoda, że zachorowałam - odezwała się cicho Liz. - Chciałam iść z tobą.

- Następnym razem pójdziesz.

- Za trzy lata?

- Za rok.

- Za tutejszy rok, to znaczy za trzy lata. A ja mam słabe płuca.

- Do zimy jeszcze daleko, wyzdrowiejesz. , Oleg rozumiał, że mówi zupełnie co innego niż to, czego spodziewała się ta dziewczyna o białej, szerokiej twarzy. Kiedy mówiła o przełęczu, o wyprawie, myślała tylko o tym, żeby Oleg zawsze był przy niej, bo jest zupełnie sama na świecie, bo się tego świata bardzo boi... Dlatego Oleg starał się być dla niej uprzejmy, co nie zawsze mu się udawało, gdyż Liz była irytująca; jej octy zawsze o coś prosiły, a ona sama chciała być z Olegiem sam na sam, żeby się całować.

Krystyna wstała z pryczy, wzięła laskę i podeszła do płyty kuchennej. Wszystko umiała zrobić sarna, ale wołała, żeby robiły to za nią sąsiadki.

- Oszaleć można - mamrotała. - Ja, wybitna uczona, kobieta słynąca niegdyś z urody, musze mieszkać w tym chlewie porzucona przez wszystkich, skrzywdzona przez los...

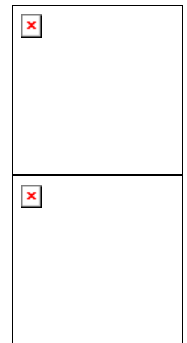
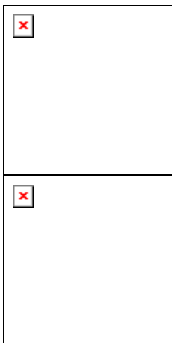
- Oleg - powiedziała Liz, unosząc się na łokciu i odsłaniając przy tym dużą białą pierś. - Oleg, nie idź z nimi. Nie wrócisz. Wiem, że nie wrócisz. Mam przeczucie...

- Może przynieść wody? - zapytał Oleg, opuszczając oczy.

- Jest woda - powiedziała Liz. - Nie chcesz mnie usłuchać. Posłuchaj chociaż raz w życiu!

- Pójde już.

- Idź - szepnęła Liz.



Stary był w kuchni. Mył się nad miską.

- Ładne sztuki upolowaliście - powiedział. Tylko futro mają nie najlepsze, letnie.

- To Dick i Siergiejew.

- Jesteś zły? Byłeś u Krystyny?

- Tak, wszystko jest w porządku. Trzeba będzie później zanieść im trochę oleju. Kartofle też im kończą.

- Nie martw się. Chodź do mnie, porozmawiamy na ostatek.

- Może u nas?

- U mnie jest teraz spokojnie, bliźniaki bawią się na dworze.

- Tylko niedługo! - krzyknęła matka z za przepierzenia.

Stary uśmiechnął się. Oleg zdjął z wieszaka ręcznik i podał mu, żeby wytarł sobie rękę. Prawą ręką Stary stracił piętnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy próbowali przedostać się na przełęcz.

- Najbardziej lękam się puścić ciebie - powiedział starzec siadając naprzeciw niego na miejscu nauczyciela. - Myślałem, że za parę lat zastąpisz mnie. I że zamiast mnie będziesz uczył dzieci. A jednocześnie nalegałem, żeby zabrali cię na przełęcz. To chyba jest ważniejsze dla ciebie niż dla Dicka albo Marianny. Będziesz tam moimi oczami i rękami.

Stary uniósł swoją rękę i przyjrzał się jej z takim zaciekawieniem, jakby nigdy jej nie widział. I zamyślił się. Oleg milczał. Stary często tak milki nagle na minutę lub dwie. Trzeba się było do tego przyzwyczać. Każdy ma swoje słabości. Płomyk kaganka odbijał się w wypolerowanym, jak zawsze czystym mikroskopie, w którym brakowało najważniejszego szkła. Siergiejew od dawna męczył Starego, powtarzał mu, że pusta rurka jest zbyt cenna, aby trzymać ją na półce jako ozdobę. "Daj mi ją do warsztatu - mówił - to zrobię z niej dwa wspaniałe noże". Ale Stary się nie zgadzał.

- Przepraszam - powiedział starzec. Zamrugał pocziwymi szarymi oczami, pogładził schludnie przystrzyżoną białą bródkę... - Rozmyślałem. Wiesz o czym? O tym samym, co i przedtem, o tym, że w historii Ziemi zdarzały się już wypadki, kiedy wskutek różnych nieszczęśliwych zbiegów okoliczności niewielka grupa ludzi zostawała odcięta od cywilizacji. I tutaj wkraczamy w dziedzina analizy jakościowej.

Starzec znów zamilkł i bezdźwięcznie poruszał ustami. Zagłębił się w swoje myśli. Oleg przywykł do tego. Lubił nawet siedzieć obok starca i po prostu milczeć, po prostu siedzieć, bo wydawało mu się, i Starzec ma w sobie tak wiele wiedzy, że przesyca nią całe powietrze, którym

oddycha.

- Do degradacji pojedynczego człowieka wystarczy kilka lat, pod warunkiem, że jest białą kartą. Wiadomo, że dzieci, które w niemowlęctwie trafiły do wilków lub tygrysów, a takie wypadki zanotowano w Indiach i w Afryce, po kilku latach beznadziejnie opóźniały się w stosunku do swoich rówieśników. Stawały się debilami. Debil, to jest...

- Pamiętam to słowo.

- Przepraszam. Nie udawało się przywrócić im człowieczeństwa. Nawet chodziły wyłącznie na czworakach.

- A gdyby to był dorosły?

- Dorosłego wilki nie przyjmą. A na bezludnej wyspie?

- Jest wiele wariantów, ale w każdym z nich człowiek nieuchronnie się degeneruje. Stopień degradacji...

Starzec uniósł pytająco oczy, a Oleg skinął głową. Wiedział, co to jest degradacja.

- Stopień degradacji zależy od poziomu, jaki człowiek osiągnął do momentu izolacji, i od jego charakteru. Nie możemy jednak dokonać eksperymentu historycznego na pojedynczym ukształtowanym osobniku. Mówimy zatem o społeczności, socium, grupie. Zastanawiamy się, czy grupa ludzi może utrzymać się na poziomie kultury, na jakim znajdowała się w chwili odizolowania.

- Może - powiedział Oleg. - To my.

- Nie może - zaproponował starzec. Niemowlęciu do ostatecznej degradacji wystarczy jednak pięć lat, grupie, jeśli nawet nie wymrze, trzeba na to dwóch lub trzech pokoleń. Plemieniu - kilku pokoleń - a narodowi zaś może nawet parę wieków. Ale ten proces jest nieuchronny i nieodwracalny. Dowodzi tego historia. Weźmy chociażby australijskich aborygenów...

Weszła matka Olega. Była uczesana i miała na sobie świeżo upraną spódnice.

- Posiedzę z wami - powiedziała.

- Posiedź, Ireno, posiedź - powiedział starzec. - Rozmawiamy właśnie o postępie, a właściwie regresie społecznym.

- Już o tym słyszałam - powiedziała matka. - Zastanawiasz się, jak prędko zaczniemy chodzić na czworakach? Odpowiem ci, że jeszcze wcześniej wszyscy wyzdychamy. No i dzięki Bogu. Już mi to brzydło.

- A jemu nie zbrzydło?! - wykrzyknął starzec. - Moim bliźniakom też?

- Przecież tylko dla niego żyję a wy go posyłacie na pewną śmierć.

- Jeśli przyjąć twój punkt widzenia - odparł Stary - to tutaj każdy dzień grozi śmiercią. Tutaj las, to śmierć; zima, huragan, powódź, ukąszenie trzmieła - to również śmierć. I nikt nie wie, skąd ta śmierć pełznie i jaką przybierze postać.

Wypelza, kiedy chce i zabiera każdego, kogo tylko zapragnie - powiedziała matka. - Jednego za drugim.

- Jest nas teraz więcej niż było pięć lat temu. Najważniejszym problemem nie jest przetrwanie fizyczne, tylko moralne.

- Jest nas mniej, coraz mniej! Rozumiesz, prawie nikt z nas nie został! Co te szczeniaki mogą bez nas robić?

- Skończmy jur z tym, Borys, dobrze?

- Nasz ratunek nie polega na wtapianiu się w przyrodę, na adaptacji do niej - powiedział starzec z nie zachwianą pewnością. Tym razem zwracał się do Olega. - Potrzebujemy zastrzyku ludzkiej kultury, potrzebujemy pomocy ze strony reszty ludzkości. Pomocy w dowolnej formie. Dlatego właśnie nalegam, żebyś poszedł na przełęcz. My jeszcze pamiętamy. I naszym obowiązkiem jest przekazać tę pamięć wam.

- Przelewanie z pustego w próżne - powiedziała matka zmęczonym głosem. - Zagrzać wody?

- Zagrzej - powiedział Stary. - Napijemy się wrzątku. Grozi nam zapomnienie. Już teraz nosiciele choćby drobin ludzkiej mądrości, cywilizacji, wiedzy jest coraz mniej. Jedni giną umierają, inni zaś są zbyt pochłonięci walką o egzystencję... I oto przychodzi nowe pokolenie. Ty i Marianna nie jesteście jeszcze tak wyraźnie na nowy sposób ukształtowani, stanowicie etap przejściowy. Jesteście jakby ogniwem łączącym nas z naszą przyszłością. Potrafisz sobie wyobrazić jaka ona będzie?

- My nie boimy się lasu - powiedział Oleg. - Znamy grzyby i drzewa, możemy polować na stepie...

- Lękam się przyszłości, w której panuje nowy typ człowieka: Dick-myśliwy. On dla mnie jest symbolem ucieczki, symbolem porażki człowieka w walce z przyrodą.

- Richard to dobry chłopak. Może tylko trochę dzikusowaty - odezwała się matka z kuchni. - Niełatwo mu żyć samemu.

- Dick już czuje się tubylcem, panem lasu. Przestał chodzić do mnie pięć lat temu. Nie jestem wcale, pewien, czy pamięta jeszcze abecadło.

- A po co mu ono? - z, spytała matka. - Książek i tak nie ma. Nie ma też do kogo pisać listów.

- Dick zna wiele pieśni - wtrącił Oleg. - I sam je układa...

- Nie chodzi o pieśni. Pieśni, to zaranie cywilizacji. A dla malców Dick jest bożyszczem. "Dick-myśliwy"! Dla was zaś, głupie baby, wzorem wszelkich cnót. Dla dziewcząt - rycerzem.

- Widzę, że cieszy cię świat Dicków, dzikusów?! - Stary był wściekły. Rąbnął nawet pięścią w stoi. Świat sytych bystronogich dzikusów!

- A w mozesz zaproponować w zamian?

- Jego - starzec położył ciężką dłoń na głowie Olega. - Świat Olega, to jest mój świat, twój świat, który usiłujesz odrzucić, chociaż inny ci nie jest dany.

- Nie zgadzam się z tobą, Borys - powiedziała matka. - Najważniejszą rzeczą dla nas jest przeżyć. Mówię w tej chwili nie konkretnie o sobie, tylko o wiosce. O dzieciakach. Kiedy patrzę na Dicka lub n. Mariannę, to zaczynam mieć nadzieję. Ty ich nazywasz dzikusami, a ja sądzę, że oni zdołali się przy stosować. I jeśli oni teraz zginą - zginiemy wszyscy. To zbyt wielkie ryzyko.

- To znaczy, że ja się nie przystosowałem? - zapytał Oleg.

- Jesteś najmniej przystosowany ze wszystkich.

- Większe szanse przeżycia będzie miało osiedle takich, jak Oleg - zaproponował Stary. - Jeśli naszym plemieniem będzie rządził Dick i jemu podobni, to za sto lat nikt nawet nie wspomni, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy i po co żyjemy. Zatriumfuje prawo silniejszego, prawo pierwotnej zgrai.

- I będą płodzić się i rozmnażać - powiedziała matka. - I staną się liczni jak piasek pustyni. I wynajdą koło, a po dalszym tysiącu lat maszynę parową - zakończyła ze śmiechem, który podobniejszy był do łkania. Pociągnęła nosem.

- Żartujesz? - zapytał Oleg.

- Irena mówi zupełnie poważnie - odpowiedział mu Stary. - Walka o najprymitywniejszą egzystencję doprowadzi do beznadziejnego regresu. Przeżyć za taką cenę, za cenę wtopienia się w przyrodę, zaaprobowania jej praw, to znaczy skapitulować.

- I dlatego właśnie pędzisz Olega w góry?

- Dla zachowania wiedzy, dla nas wszystkich, w tym również dla ciebie. Dla walki z otepieniem czyżbyś tego nie rozumiała?

- Zawsze byłeś egoistą - powiedziała matka.

- A twój macierzyński egoizm się nie liczy?

- Po co Oleg? Przecież on nie wytrzyma tego marszu, bo jest na to za słaby.

Tego matka nie powinna powiedzieć. Od razu to zrozumiała i popatrzyła na Olega błagając go wzrokiem, żeby się nie obrażał, żeby zrozumiał.

- Ja się nie obrażam, mamó - powiedział Oleg. - Wszystko rozumiem, ale chcę iść. Chyba chcę bardziej niż cała reszta... Dick najchętniej by został. Wiem o tym. Niedługo zaczną koczować jelenie. Najlepszy sezon na polowanie na stepie. Zostałby.

- On jest potrzebny na wyprawie - powiedział twardo starzec. Oburzam się wprawdzie na perspektywę jego władzy, ale dziś jego umiejętności, jego siła mogą nas uratować.

- Uratować! - matka oderwała wzrok od Olega. - Ciągłe gadasz o ratunku. A sam w niego wierzysz! Ludzie trzy rdzy chodzili w góry, a ilu z nich wnóciło? I z czym?

- Wówczas byliśmy jeszcze niedoświadczeni. Nie znaleźliśmy tutejszych praw. Szliśmy zimą, jesienią kiedy na przełęcz leżał śnieg. A dzieciaki zdołają przejść...

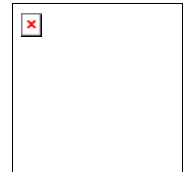
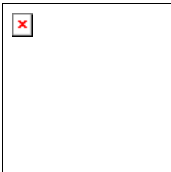
- Gdyby tamci nie zginęli, znacznie lepiej by się nam żyło. Byłoby więcej karmicieli.

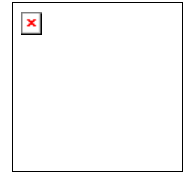
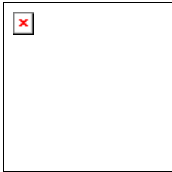
- Naturalnie, ale i tak znaleźlibyśmy się we władzy prawa degradacji. Albo jesteśmy częścią ludzkości pielęgnującą ogólnoludzki dorobek, żadną wiedzą, albo też zamieniamy się w garstkę dzikusów bez perspektyw.

- Jesteś idealistą, Boria. Kawałek chleba jest dziś potrzebniejszy niż abstrakcyjny ananas.

- Ale przecież pamiętasz smak ananasa? - Stary obrócił się do Olega i dodał: - Ananas, to owoc tropikalny o specyficznym smaku.

- Zrozumiałem - powiedział Oleg. - Śmieszne słowo. Matko, zagrzej zupy. Niedługo ruszamy.





- Papier - powtórzył Stary. - Przynajmniej dziesięć arkuszy.
- Będziesz miał swój papier - powiedział Tomasz.

Ci, którzy mieli iść, zebrali się przy bramie ogrodzenia. Reszta przyszła ich odprowadzić. Wszyscy udawali, że wyprawa jest najzwyczajniejsza w świecie, jak na bagna po słodkie kłaczka, a zegnali się, jakby się już nigdy nie mieli zobaczyć. Oleg takie przynajmniej odniósł wrażenie.

Ci, którzy szli, byli ciepło ubrani - odzienie dla nich zebrano w całej wiosce. Ciotka Luiza sama je wybierała, zwiężała, dopasowywała. Oleg chyba nigdy dotąd nie był tak ciepło ubrany. Tylko Dick niczego nie wziął. On zawsze sam wszystko sobie szyje.

Matka trzymała Olega za rękę, a on nie odważał się wyrwać dłoni, chociaż wydawało mu się, że Dick, patrząc na niego, uśmiecha się ironicznie samymi oczami.

Matka chciała pójść z nimi do cmentarza, ale Siergiejew jej nie puścił. Nie puścił nikogo, oprócz Luizy i Starego.

Oleg kilka razy odwracał się do tyłu. Matka stała z nieruchomo uniesioną ręką, jakby chciała pomachać nią na pożegnanie i zapomniała. Starła się nie płakać.

Nad ogrodzeniem widać było głowy dorosłych. Matki, Aggie, Siergiejewa, Veitkusa... A przez ciernie, bliżej ziemi, ciemniały postacie dzieciarni. Króciutki szereg ludzi, a za nim spadziste, błyszczące w deszczu różowe dachy garstki domów.

Na wzgórzu Oleg obejrzał się po raz ostatni. Wszyscy nadal stali przy ogrodzeniu, tylko paru malców odbiegło na bok i zaczęło taplać się w kałuży. Z góry widać było ulicę, dróżkę między szafasami. I drzwi u Krystyny. W drzwiach stała jakaś kobieta. Z daleka nie było widać, czy to Krystyna, czy Liz. A potem wierzchołek wzgórza zasłonił wiosek.

Cmentarz również był otoczony kolczastym ogrodzeniem. Dick, zanim otworzył furtkę, zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy jakieś zwierze nie urządziło sobie tam kryjówki. To było całkiem możliwe. Oleg pomyślał, że sam na pewno zapomniałby to zrobić.

Dziwne, pomyślał, że grobów przywalonych płytami miękkiego łupka,

wyłamanymi z pobliskich skał, jest znacznie więcej niż ludzi w wiosce, chociaż osiedle liczy sobie dopiero szesnaście lat. Ojca tam nie było, bo został za przełęczą. Dick przystanął przed dwoma identycznymi płytami, ociosanymi znacznie staranniej niż pozostałe. To były groby jego rodziców. Zerwał się wiatr, zimny i uporczywy. Stary wolno przechodził od grobu do grobu. Znał ich wszystkich. Ilu ich było szesnaście lat temu? Zdaje się, że trzydziestu sześciu dorosłych i czworo dzieci. A zostało?... Dziesięcioro dorosłych i troje dzieci z tych, które przyszły. Troje. Dick, Liz i on, Oleg. Marianna urodziła się już tu. I jeszcze dwanaścioro dzieci spośród tych, które urodziły się w wiosce żywe. To znaczy, że siedemnaście lat temu było tu czterdziestu ludzi, a teraz dwudziestka z kawałkiem. Prosty rachunek. Nie, wcale nie prosty. Grobów jest o wiele więcej, leżą w nich dzieciaki, które umarły lub zginęły. Tutejsze, wioskowe. Pewnie można sporządzić wykres, pomyślał Oleg. Kto przeżywa, dlaczego ludzie umierają...

Nad uchem, jakby podsłuchiwała jego myśli, odezwała się ciocia Luiza:

- Większość umarła przed piątym rokiem życia.
- Naturalnie - zgodził się Stary. - Płaciliśmy za doświadczenie.
- Prawdziwy cud, że wszyscy nie wymarli już w pierwszym roku - powiedział Tomasz. - Pamiętasz?
- Pamiętam - odpowiedział Stary.

O jakieś trzydzieści kroków za ogrodzeniem, gdzie zaczynała się płózca, podstępna, lepka kosówka, zatrzymali się.

Luiza wszystkich ucałowała. Stary uściśnął im rękę. Na ostatku pożegnał się z Olegiem.

- Bardzo na ciebie liczę - powiedział. - Bardziej niż na Tomasza. Tomasz troszczy się o dobro wioski, o jej dzień dzisiejszy. Ty powinienesz myśleć o przyszłości. Rozumiesz mnie?

- Dobrze - odparł Oleg. - A ty, nauczycielu, opiekuj się mamą. Żeby za bardzo się nie martwiła. Przyniosę mikroskop.

- Dziękuję. Wracajcie jak najszybciej.

x
x

x
x

O zmroku, jak Tomasz się spodziewał, dotarli do skał.

Las nie dochodził do skał, ich purpurowe zęby sterczały z nagiej, pokrytej plamami porostów doliny, a strzępy chmur przelatywały tak nisko, że kamienne zębiska rozpruwały im brzuchy i znikwały w szarym tumanie. Tomasz powiedział, że jaskinia, w której nocował poprzednim razem, jest sucha łatwo do niej dotrzeć. Po pięciu godzinach szybkiego marszu wszyscy, oprócz Dicka, byli bardzo zmęczeni. A Dick, jeśli nawet się zmęczył, nie uskarżał się, tylko szczyrzył zęby.

- Wtedy było znacznie zimniej - powiedział Tomasz. - Uznaliśmy wówczas, że w mroź łatwiej będzie przedostać się przez bagno. A przełęcz była zamknięta. Pamiętam, że jak tędy szliśmy, to pod nogami dzwoniło. Przymrozki.

Między wędrowcami a skałami leżała okrągła biaława plama o średnicy jakichś dwudziestu metrów.

- To tutaj dzwoniło? - zapytał Dick, który szedł przodem. Zatrzymał się gwałtownie na skraju plamy. Jej powierzchnia lekko połyskiwała, jak kora sosny.

- Tak. - Tomasz stanął obok Dirka. Oleg został w tyle. Godzinę temu wziął od Marianny worek, żeby się nie przemęczyła. Marianna nie chciała mu go dać, Dick tylko wyszczerzył zęby, a Tomasz powiedział:

- Słusznie. Jutro ja ci pomogę, a potem Dick.

- Po co pomagać? - powiedział Dick. - W nocy rozdzielimy między sobą połowę jej worka. Jej będzie lżej, a my też nie zauważymy różnicy. Wcześniej trzeba było o tym pomyśleć. Dwa miesiące się przygotowywali, a nie pomyśleli.

- Ciekawe, kto niby miał myśleć? Z ciebie taki sam myśliciel, jak z reszty, pomyślał Oleg. A nieś trzeba było niemało. Chociaż Dick mówił, że nie ma sensu ciągnąć ze sobą jedzenia, bo on zawsze coś n drodze upoluje, to jednak wzięli wędzone mięso, suszone kłaczka i grzyby. Najwięcej jednak ważył drewno, bez którego ani wody się nie zagotuje, ani zwierza nie odpędzi.

- Wiesz, do czego to jest podobne? - powiedziała Marianna, dopędzając mężczyzn. - Do wierzchołka grzyba. Ogromnego grzyba.

- Możliwe - powiedział Dick. - Lepiej go obejdźmy.

- Po co? - zaproponował Oleg. - Na piargi trzeba się będzie wdrapywać.

- Spróbuję, dobrze? - powiedziała Marianna przyklekając i wyciągając zza paska nożyk.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Tomasz.

- Odetnę kawałek i powącham. Jeśli ten grzyb jest jadalny, to można by nim nakarmić całą wioskę.

- Nie warto go ciąć - powiedział Dick. - Nie podoba mi się twój grzyb, jeśli to w ogóle jest grzyb. Ale Marianna już wbiła nożyk w krawędź plamy. Odciąć jednak nic nie zdążyła - ledwie zdążył wyrwać nóż. Biaława plama nagle wzduła się, zadygotała i runęła wysoką falą w jej stronę. Dick gwałtownie pociągnął dziewczynę na siebie i potoczył się z nią do tyłu, Tomasz również odskoczył i uniósł kuszę. Dick, siedząc na kamieniach, roześmiał się na całe gardło:

- Żeby go zabić, potrzebna jest strzała wielkości domu. Albo i większa!

- Przecież mówiłam, że to grzyb - powiedziała Marianna. - Niepotrzebnie się wystraszyłeś. On pachnie jak grzyb.

Drgawki wstrząsały białą plamą. Fale rodziły się w jej środku i toczyły ku krawędziom, jak kręgi na wodzie od wrzuconego do niej kamienia. Środek grzyba wciąż się unosił i unosił, jakby ktoś, bijąc głową usiłował wyrwać się na zewnątrz potem od środka rozbiegły się ciemne pęknięcia, które rozszerzany się tak długo, aż cała powierzchnia grzyba rozpadła się na ogromne spiczaste płatki. Płatki zaczęły się unosić i odchyłać do góry i wreszcie utworzyły kielich gigantycznego kwiatu.

- To jest piękne - powiedziała Marianna. - To jest po prostu piękne, prawda?

- A ty chciałeś po nim spacerować - powiedział Dick do Olega. Powiedział to tonem starszego, chuci byli rówieśnikami. Obaj mieli po dwa lata, kiedy ich nieśli przez przełęcz.

Obeszli grzyb po piargu. Oleg z góry usiłował zajrzeć do wnętrza kwiatu, ale było tam ciemno i pusto. Płatki stopniowo się zamykały i gigantyczny grzyb zaczynał się uspokajać.

- Jak go nazwiemy? - zapytała Marianna.

- Muchomor - powiedział Tomasz.

- Muchomor to grzyb?

- Oczywiście - odparł Tomasz. - Duży i trujący. Z czerwonym kapeluszem upstrzonym białymi plamami.

- Nie bardzo podobny - zauważył Dick.

- Ale ładnie brzmi - ucięła Marianna.

Od dawna się już tak utarło, że nazwy nieznanym rzeczom nadawał Tomasz. Były to nazwy stare nie zawsze zupełnie odpowiednie, ale po co wymyślać nowe? Żeby tylko była jakaś podobna cecha. Grzyby rosną w ziemi i można je suszyć, a zatem pomarańczowe lub niebieskie kule, które zakopują się w ziemi, ale które można suszyć i jeść, gotować i smażyć, jeśli się je uprzednio porządnie wymoczy, nazwano grzybami. Szakale chodzą stadami, żywią się padliną, są tchórzliwe i żarłoczne. I nieważne, że tu szakale to gady. Niedźwiedź jest wielki i ma długą, kosmatą sierść, chociaż ta jego sierść - to cienkie pędy rośliny rozmnażającej się przez rozsiewanie jadowitych igiełek, źdźbła przypominające zielonkawę włosy.

Oleg zasapał się, wdrapując się po piarżysku. Kamienie usuwały mu się spod nóg, worek Marianny ciążył mu w ręku, własny przytłaczał ramiona. Oleg liczył kroki i zastanawiał się gdzie jest ta diabelna jaskinia. Powietrze zaczynało już niebieszczeć, dzień i tak był pochmurny, a teraz wszystko zaczynało się rozplýwać w szarawej mgłę unoszącej się nad ziemią. Już największy czas znaleźć kryjówkę, bo nawet Dick nocą nie odważy się pójść do lasu albo w step. W ciemnościach wychodzą na żer zwierzęta nocne.

<input type="checkbox"/>
<input type="checkbox"/>

<input type="checkbox"/>
<input type="checkbox"/>

Dobrze, że jaskini nikt nie zajął. Przecież mógł w niej kryć się niedźwiedź albo coś jeszcze gorszego, któraś z tych nocnych bestii krążących jak zjawy wokół ogrodzenia. Czasami te zwierzęta próbowały nawet przerwać kolczaste zasieki, ciągnąc do ludzkich siedzib, a zarazem ich się bojąc. Kiedyś, chyba ze trzy lata temu, Marianna przyniosła z lasu kozłatko, malutkie jeszcze, sięgające jej do pasa. Kozioł miał przenikliwy głos i darł się jeszcze gorzej niż bliźniaki. Zielona, włochata trawa zwisała do ziemi, zwierzak tupał opancerzonymi nogami i wrzeszczał wniebogłosy.

- Beczy - powiedział wówczas z satysfakcją Veitkus, - który uwielbiał głosy zwierząt domowych.

- A więc będzie kozłem - powiedział Tomasz, który już wówczas nadawał nazwy nieznanym przedmiotom i zwierzętom.

Kozioł dożył w wiosce do zimy, kiedy noc trwa niemal bez przerwy.

Przywykł do ludzi, prawie nie gryźł i sterczał ciągle w warsztacie Siergiejewa, bo tam było ciepło. W tym warsztacie Siergiejew robił meble i naczynia. Oleg lubił mu pomagać. Podobało mu się robić rzeczy. A potem w nocy przyszły nocne bestie i uprowadziły kozła. Marianna znalazła kilka strzępków zielonej sierści na cmentarzu. Ale to było - już wiosną, więc mogła się pomylić.

Veitkus powiedział wtedy:

- Rozwój hodowli trzeba będzie odłożyć na czas nieokreślony.
- Tym bardziej - dodała Aggie - że tyle było z niego pożytku, co z psa gnoju.

Jaskinia miała jedną wadę - szeroki wlot. W poprzek otworu rozpięli namiot z rybich skór i rozpalili ognisko, bo nocne bestie nie lubią ognia. W jaskini było prawie ciepło i Oleg z rozkoszą wyciągnął się na gładkiej kamiennej posadzce. Marianna położyła się obok niego.

- Okropnie się zmęczyłam - powiedziała. - I bałam się.
- Ja też - odparł Oleg cicho. - Wydawało mi się, że z tyłu ktoś idzie.
- Dobrze, że nie wiedziałam - powiedziała Marianna.

Dick łupał drewno. Wzięli ze sobą najlepsze, takie, które wolno się pali. Tomasz rozwiązał worek z grzybami i wyjął kociołek na trójnogu.

- Oleg - powiedział - podaj wodę.

Woda była w worku Olega, w naczyniu z tykwy. Tomasz potrzebował zrobić najwyżej dwa kroki, żeby wziąć wodę samemu. Chłopak zrozumiał, że Tomasz powiedział to w celach wychowawczych. Nie chce rozkazywać Olegowi, żeby wstał i zajął się jakąś robotą, nie chce go zawstydząć. Chociaż, co tam jest do roboty? Namiot już rozwiesili razem, ognisko rozpalili. Następnego dnia będę mniej zmęczony, to zajmę się gospodarstwem... Przecież dziś taszczyłem worek Marianny!

Oczywiście nie powiedział tego na głos i nie zdążył wstać, kiedy Dick wyciągnął długą rękę, chwycił worek Olega i podsunął go Tomaszowi.

- Niech odpoczywa - powiedział bezbarwnym, obojętnym tonem. - Zmordował się, niósł dwa worki.
- Niech poleży - zgodził się Tomasz.

Oleg usiadł.

- A co trzeba zrobić? - zapytał. - Kiedy trzeba, to zawsze robię.
- Poczekaj, Tomaszu - powiedziała Marianna. - Sama zrobię zupę. Ty przecież nie wiesz, ile grzybów trzeba włożyć.

- Miałem wrażenie - powiedział Dick - że za nami ktoś szedł.
- Ty również?! - wykrzyknął Oleg.

Zaraz potem usłyszeli czyjeś ciężkie kroki za zasłoną. Dick porwał dzidę, a Tomasz pochylił się nad ogniskiem, gotowy chwycić płonąca głośwnio. Kroki umilkły. Było bardzo cicho. Słysząc było, jak pojedyncze krople deszczu kapią z nawisu nad wejściem do jaskini.

- Akurat zdążyliśmy - odezwała się Marianna.
- Cicho!

Ale za błyszczącą zasłoną z rybich skór nic się nie działo.

Dick trzymając broń w pogotowiu podszedł do zasłony, ostrożnie odsunął róg i wyjrzał na zewnątrz.

Oleg patrzył na jego szerokie, napięte plecy i czekał. Trzeba by również wziąć dzido... Ale przecież pali się ognisko... To sprawa Dicka... Niesprawiedliwość tej myśli była dla niego oczywista, ale nie mógł inaczej myśleć, bo jego sprawa, jego robota polegała na czymś innym. Miał zobaczyć to, co nie interesuje pozostałych. Stary bardzo na niego liczył.-Najgorsze jednak, że nie wie; czy spełni jego nadzieję, tym bardziej, że z upływem lat stają się one dla starca coraz bardziej abstrakcyjne i iluzoryczne.

- Trzeba będzie dyżurować przy ognisku - powiedział Dick.
- Ja zupełnie nie jestem śpiący - zaofiarował się Oleg.
- Przydałby się nam pistolet - westchnął Tomasz. - Przyzwoity pistolet, strzelający ogniem ciąg
- Za pięć minut będzie zupa - powiedziała Marianna. - Bardzo smaczna zupa. Ciocia Luiza dała nam na drogę same prawdziwki...

Gdzieś bardzo daleko coś mlasnęło, sapnęło. Potem rozległ się lekki tupot niezliczonych nóg i beczenie. Chóralny rozpaczliwy bek.

Marianna zerwała się równe nogi.

- Kozły!
- Twojego już dawno zjedli - mruknął Dick. - Kto je tak goni?
- Jadowity słoń - nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział Tomasz.

Dick roześmiał się:

- Tak właśnie będziemy go nazywać.

Beczenie zmieniło się w wysoki krzyk, podobny do płaczu dziecka. Potem wszystko ucichło. I znów rozległ się tętent.

- Myślę, że wypuszcza je muchomor - powiedział Oleg.

- Kogo? - zapytał Dick.

- Jadowite słonie.

- To są złe duchy, zjawy. Krystyna mi mówiła - odezwała się Marianna.

- Złych duchów nie ma - powiedział Oleg.

- No to spróbuj zapuścić się głębiej w las! - wykrzyknął Dick.

- Cicho! - rozkazał Tomasz.

Całkiem blisko przemknęły kozły. Za nimi, miękkim, zamaszystym krokiem pędził prześladowca. Ludzie cofnęli się za ognisko, aby mieć je między sobą a zasłoną. Przygotowali broń. Nieznane zwierzęta są straszne, gdyż nie zna się ich zwyczajów.

Zasłona podskoczyła, pękła na ukos i do jaskini wpadła zielona, włochata istota. Była wzrostu człowieka, ale okrągła, czworonoga, z kościstym grzbietem sterczącym z kudłów, niczym łańcuch stromych wzgórz z gęstego lasu.

Zwierzę dygotało. Jego malutkie czerwone ślepia gapiły się na ludzi z tępą rozpaczą. Dick wycelował starannie kuszę, chcąc ubić je jednym strzałem.

- Stój! - krzyknęła Marianna. - To przecież kozioł!

- Słusznie - szepnął Dick, nie ruszając się z miejsca. - To mięso.

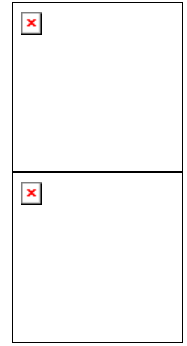
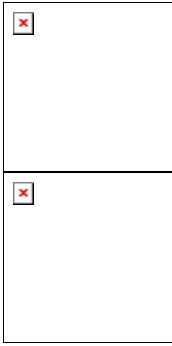
Ale Marianna już obeszła ognisko i zbliżała się do kozła.

- Poczekaj. Tomasz chciał ją powstrzymać, ale dziewczyna odtrąciła jego rękę.

- To mój kozioł - powiedziała.

- Twój już dawno zdechł - odpad Dick, ale jego ręka trzymająca kuszę opadła. Mięso jeszcze mieli, a zabijać bez potrzeby Dick nie lubił. Myśliwi zabijają tylko tyle, ile mogą unieść.

Kozioł zaczął się wolno cofać i znieruchomiał. Widocznie to, co czaiło się na zewnątrz, było po stokroć gorsze od Marianny. Dziewczyna pochyliła się, szybko wyjęła z worka smaczny suszony grzyb i podała go zwierzęciu. Kozioł westchnął, powąchał, rozdziawił hipopotamią paszczękę i posłusznie schrupał poczęstunek.



Jako pierwszy pełnił wartę Oleg. Kozioł nie uciekał. Cofnął się tylko pod ścianę grotu, zerkał jedyni J okiem na Olega i od czasu do czasu głośno wzdychał, a potem zaczynał się czochoać o skałę.

- Zapchlisz nas tu wszystkich - powiedział Oleg. - Stój spokojnie, bo cię wygonię.

Uważne, nieruchome spojrzenie kozła sprawiało wrażenie, że zwierzę słucha i rozumie. Ale rak naprawdę, to kozioł przysłuchiwał się temu, co dzieje się na zewnątrz.

Patrząc na dogasające ognisko, Oleg przysnął. Wydawało mu się, że nie śpi, że widzi, jak nad rozżarzonymi węgielkami polatują niebieskie iskry i tańcząc parami układają się w korowód... Kozioł rozbeczał się i zastukał kopytami. Oleg poderwał się i nie od razu zorientował się gdzie jest. Dopiero po sekundzie lub dwóch zauważył, że kozła nie ma już na starym miejscu, że zwierzę odskoczyło w głąb . jaskini, a przez dziurkę w zasłonie pcha się jakaś szara, pęczkowata masa, rozlewa się ciastowato po posadzce. Może zresztą ta masa nie była szara, tylko różowa? Odblask gasnącego ogniska oświetlał tę pracę naprzód masę, a kozioł rozpaczliwie beczał, błagał o ratunek, gdyż uznał widocznie, że szare ciasto przyszło specjalnie po niego. Oleg zdążył jeszcze pomyśleć nie wiedzieć czemu, że jak na nocną zjawę ta masa jest zbyt paskudna, macał wokół siebie ręką i w żaden sposób nie mógł znaleźć kuszy, a odwrócić wzroku od płynącej na niego, bliskiej już masy cuchnącej żrącym kwasem, nie potrafił, nie był w stanie. I dlatego zobaczył, jak z boku stwora wyrosła nagle opierzona strzała, jak zanurzyła się do połowy w cieście, zapadła się w nim całkowicie - i jak zaraz potem, lekko i szybko, ciasto sprężyło się, skurczyło i znikło za leniwie rozkołysaną zasłoną.

Oleg w końcu zdołał opuścić oczy. Kusza leżała o dwa centymetry od rozcapierzonych palców, a Dick, wypoczęty i świeży, jakby w ogóle nie kładł się spać, siedział na posadzce. Opuścił teraz kuszę i powiedział:

- Może nie powinienem strzelać. Trzeba było poczekać.

- Czemu nie strzelałeś? - zapytała Marianna Olega i nie wstając

gładziła cienkie, pancerne nóżki kozła, który popłakiwał jak dziecko, skarżąc się jej na swój strach.

- Oleg skamieniał, a to paskudztwo już się do niego dobierało. Nie mogłem ryzykować - powiedział Dick, wcale nie chcąc obrazić Olega. Powiedział po prostu to, co myślał. Zawsze mówił to, co myślał.

- Usnąłeś? - zapytał Tomasz Olega.

Tomasz leżał zawinięty w koc, z workiem, w którym było suszone mięso, pod głową. Było mu zimno, bardzo zimno. Co to będzie, kiedy przyjdzie prawdziwy mróz, jak on to wytrzyma, pomyślał Oleg i powiedział:

- Usnąłem. Nawet nie wiem kiedy. Kozioł mnie obudził.

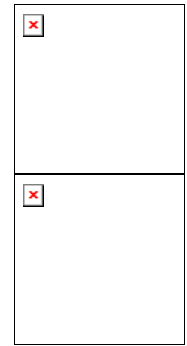
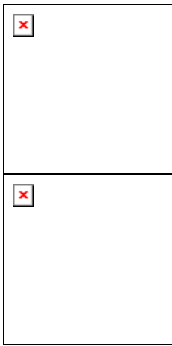
- Zuch, koziołek! - powiedziała Marianna.

- Dobrze, że cię obudził - powiedział Dick, kładąc się na boku. Jego dłoń opierała się na kolbie kuszy, którą sam wytoczył. - Bo inaczej by nas...

I usnął, nie kończąc zdania.

Tomaszowi nie chciało się spać, więc wstał i zastąpił Olega, który wprowadził trochę się opierał, ale dość łatwo dał się przekonać, bo oczy mu się kleiły. Natychmiast rozciągnął się na posadzce. Tomasz narzucił koc na ramiona i pomyślał, że dobrze byłoby dorzucić do ognia, ale zrezygnował. Drzewo trzeba oszczędzać, nie mają go zbyt wiele, a zbliżają się mrozy. Przypomniał sobie, jak było zimno, kiedy poprzednim razem szli na przełęcz. Jak śmiertelnie i beznadziejnie zimno. To było cztery lata temu. I osiem lat temu. I w rok po zbudowaniu osiedla. Najdalej doszli za drugim razem. Inna rzecz, że z tej wyprawy wróciło tylko dwóch. On i Veitkus.

Tomasz popatrzył na młodych. Dlaczego oni nie czują, że na kamieniach jest twardo i zimno? Jakie wewnętrzne, organiczne zmiany zaszły w ich metabolizmie w ciągu tych lat? To przecież dzieci natury, dzikusy patrzące na niego, sędziwego starca, z uprzejmą pobłażliwością tubylców. Dzikusy, które mimo wysiłków i przestróg Borysa z każdym rokiem coraz bardziej oddalają się od ludzkiego świata i coraz lepiej adaptują się do tutejszego świata samotności i szarych chmur. A Borys tylko w połowie ma rację. Ma rację, że przejście do stanu dzikości jest nieuchronne. Tomasz dostrzega to we własnej córce i innych malcach. Ale najprawdopodobniej to właśnie jest jedynym wyjściem, jedyną możliwością ratunku. A przełęcz, to tylko symbol, w który już nikt nie wierzy, lecz z którego trudno zrezygnować.



Kiedy rozwidniało się i przez dziurę w zasłonie wlała się do jaskini niebieska mgła, kiedy w odległym lesie na powitanie nowego dnia zaskrzeczały skoczki, Dick, który pełnił wartę pyry wygasłym ognisku i strugał strzały do kuszy, schował gotowe patyki do worka i spokojnie zasnął. Dlatego nikt nie widział, kiedy kozioł wyszedł z jaskini. Gdy Marianna zaraz po przebudzeniu wybiegła zmartwiona na zewnątrz, nie było już po nim nawet śladu.

- Nienawidzę go - powiedziała po powrocie.
- Za to, że ci nie podziękował? - zapytał Oleg.
- Przecież mu z nami lepiej, bezpieczniej.
- Szkoda, że go nie zastrzeliłem o świcie - odezwał się Dick. - Chciałem to zrobić, ale pomyślałem, że lepiej to będzie zrobić za dnia.
- To nieuczciwe! - wykrzyknęła Marianna. - Przecież on nas tej nocy uratował.
- A co to ma do rzeczy? - zapytał Dick. - Przecież kozioł myślał tylko o własnej skórze. Oleg wziął skórzane wiadro i poszedł szukać wody.
- Nie zapomnij wziąć dzidy - powiedziała Marianna.
- I nie odchodź zbyt daleko - dodał Tomasz.
- Nie jestem dzieckiem - odwarknął Oleg, ale dzida wziął.

Poszedł w dół zbocza, bo wydawało mu się, że tam szemrze woda. W takich miejscach bywają źródła. Znalazł się u szczytu piarżyska, za którym z ziemi wyrastał wierzchołek gigantycznego grzyba. Warstwa mgły spelzła z białawego kręgu i Oleg zobaczył, jak powoli unoszą się płaty paszczęki, a z mgły po przeciwległej stronie dolinki wytaczają się wolno i uroczyście szare, nieco ciemniejsze od grzyba, gąbczaste, ciastowate kule... Jedna, druga, trzecia, czwarta... To właśnie one były nocnymi gośćmi w jaskini, to tak wyglądają jadłowite słonie...

- Myśliwi wracają do domu - powiedział Oleg półgłosem.

Wstrząsnął się. Z zachodu, gdzie się kierowali, nadleciał nagle przenikliwy, lodowaty wiatr, opalił twarz i ręce. Przypomniał o tym, co ich czeka. Ale nie to wzbudziło w chłopcu nagle przerażenie; przeląkł się, że nie zdołają pokonać przełęczy, jak nie udało się tego dokonać poprzednim wyprawom. Dick tylko się z tego ucieszy, bo będzie mógł wrócić na swój ukochany step, Marianna pocieszy się, kiedy znajdzie jakieś nowe zioła lub grzyby, a Tomasz przyzwyczał się do nieszczęść i nie wierzy w powodzenie. Złe, bardzo złe będzie tylko Olegowi. I Staremu.

x
x

x
x

Przez cały dzień szli otwartym terenem, na którym tylko z rzadka trafiały się kępy niskich krzewów. Było pustynnie i martwo, ale szło się łatwo, więc nawet specjalnie się nie zmęczeni. Tomasz mówił, że wybrali dobrą porę. Lato w tym roku jest ciepłe, a poprzednim razem w tym samym czasie leżał już tu śnieg. Dick nudził się i jak skoczek odbiegał co jakiś czas w bok, ale niebawem wracał zły i rozczarowany, bo bez zdobyczy.

Kozioł miał szczęście, że wrócił akurat wtedy, kiedy go nie było. W przeciwnym razie - tego Oleg był niemal pewien - skończyłby w garnku. To był ten sam kozioł. Wyskoczył z zarośli z takim łoskotem, jakiego nie narobiłaby cała sfora niedźwiedzi. Ludzie czekali na niego z napiętymi kuszami, ale rozpoznali już z daleka. Włochaty olbrzym, wyższy w grzebieniu od Olega, hałaśliwie ucieszył się na widok znajomych i podbiegł do nich z rozgłosnym tętentem.

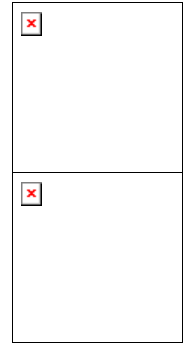
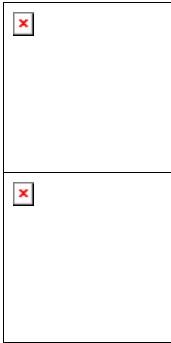
Od tej chwili już ich nie opuszczał. Ucieszył się nawet z przybycia Dicka, wyczuwając go prawie na kilometr, a potem władował się w sam środek między ludzi, nie chcąc iść z boku lub z tyłu i płacząc się pod nogami. Oleg ciągle się obawiał, że kozioł zaraz nadeptnie mu na nogę ostrym kopytem, ale zwierzę okazało się nadspodziewanie zwinne i delikatne.

Węch i słuch miało wręcz niewiarygodny. Wyczuwało obecność każdego żywego stworzenia na wiele metrów i pod wieczór Marianna utrzymywała już, że rozumie sens wydawanych przez kozła dźwięków - kiedy zapowiada, że przed nimi jest polanka porośnięta smacznymi grzybami, a kiedy trzeba patrzeć pod nogi, bo po ziemi pełzają drapieżne

liany.

Na nocleg zatrzymali się na skraju płaskowyżu, kiedy do zmroku było jeszcze daleko. Dalej droga pięła się pod górę i Tomasz powiedział, że trzeba będzie rano odszukać ujście strumienia i wspinać się jego korytem, szeroką dolinką, która potem zwęzi się i przekształci w wąwóz. Tym właśnie wąwozem będą musieli iść co najmniej dwa dni.

Żadnej groty albo innej kryjówki tam nie było, więc spali w namiocie, co kozłowi zupełnie się nie podobało i chociaż tej nocy najwyraźniej żadne niebezpieczeństwo nie groziło, zwierzę napierało się, żeby wpuścić je do środka, a w końcu oparło się o namiot, omal go nie przewracając i deptając ludzi po nogach. Wszyscy klęli kozła, ale nie odpędzali, bo było oczywiste, że w tej sytuacji nie muszą wystawiać warty. Gdy pojawi się jakiś nieproszony gość, kozioł z pewnością narobi takiego rwetusu, że umarłego obudzi...



Nad ranem Oleg straszliwie zmarzł. Nie miał siły się obudzić, a we śnie wydawało mu się, że ktoś topi go w lodowatym bagnie. Zaczął gwałtownie dygotać. Potem nagle zrobiło się trochę cieplej i Oleg zapadł w głęboki, spokojny sen. Obudził się dlatego, że kozioł postanowił wgramolić się wyżej na namiot i boleśnie nastąpił mu na nogę. Oleg podciągnął nogę, otworzył oczy i zobaczył, że Tomasz w nocy zamienił się z nim miejscami i położył się na brzegu. Tomasz był biały z zimna, leżał z zaciśniętymi zębami i udawał, że śpi. Olegowi zrobiło się wstyd. Już we wsi umówili się, że kiedy zrobi się zimno, Tomasza trzeba będzie oszczędzać, bo ma słabe płuca i źle znosi mróz. Młodym jest łatwiej, bo są zdrowi i przyzwyczajeni.

Tomaszu - zawołał cicho Oleg. - Ja już się ogrzałem. Zamieńmy się z powrotem. - Nie, nie trzeba - wyszeptał Tomasz, ale wargi nie bardzo go chciały słuchać.

Oleg nie spierał się z nim dłużej, tylko wrócił na swoje stare miejsce. Rybia skóra namiotu przepuszczała mróz jak sito i tej nocy pod kocami spali wszyscy, nawet Dick, który twierdzi, że może spać nawet w śniegu, że tak mu jest nawet wygodniej.

- Dziękuję - powiedział Tomasz dzwoniąc zębami.

Obudziła się Marianna i od razu wszystko zrozumiała.

- Zagrzeję wody - powiedziała.

Zaczęła się krzątać po namiocie.

Dick był zły, że zapasy drewna topnieją szybciej niż to mieli w planie, ale powiedział o tym jedynie Olegowi, i to cicho, kiedy odeszli ładny kawałek drogi od namiotu.

- Nie trzeba było brać Tomasza - mruknął. - Będzie chorował.

- Bez niego trudno nam będzie pokonać przełęcz - odpowiedział Oleg.

- Z nim będzie jeszcze trudniej - powiedział Dick, wypuszczając strzałę z kuszy w ciemną skalną niszę, w której Oleg niczego nie zauważył. Ale w niszy zakłębił się śnieg, wypadł z niej królik i wielkimi susami, zarzuciwszy trąbkę na plecy, pognął przed siebie. W jego śladach ciemniały kropelki krwi.

- Pójdę po niego - powiedział Dick, którego Oleg nie przekonał.

Z Dickiem trudno jest się sprzeczać, bo kiedy jest pewny swego, to nie kontynuuje dyskusji, tylko po prostu odchodzi. A najpotrzebniejsze słowa przychodzą do głowy dopiero wtedy i wychodzi na to, że Dick w każdym sporze bierze górę, jeśli nawet nie ma racji.

Tomasz szybko chodził po śniegu, żeby się rozgrzać. Ciągle jeszcze miał koc na ramionach. Garbił się i wyglądał na bardzo starego człowieka, chociaż Oleg wiedział, że Tomasz ma dopiero czterdzieści lat. Aggie powiedział kiedyś, że w wiosce procesy starzenia się przebiegają nie wiedzieć czemu znacznie aktywniej, a ciocia Luiza dodała wówczas, że od takiej diety dawno powinien wszystkich szlag trafić. Wszyscy mają chroniczne nieżyty żołądka i jelit, cierpią na schorzenia alergiczne, a u starszego pokolenia nerki są już zupełnie do niczego. Inna rzecz, że dzieci są stosunkowo zdrowe i na szczęście miejscowe mikroorganizmy nie przystosowały się do ludzkiego metabolizmu. Jeszcze się nie przystosowały... .

- Oleg - zawołał Tomasz. - Podejdz do mnie.

Tomasz ciężko opadł na zwiniętą płachtę namiotu.

- Słuchaj, pamiętasz, gdzie trzymam mapę? Bo przecież wszystko się może ze mną zdarzyć.

- Nic się nie stanie - powiedział Oleg. - Przecież idziemy razem.

- A jednak nie będziemy ryzykować. Potrafisz odczytać mapę?

Mapa była narysowana na kawałeczku papieru, na największym skarbie wioski. Oleg zawsze miał do papieru dziwny, szczególny

stosunek. Papier, nawet czysta kartka, był w jakiś czarodziejski sposób związany z wiedzą, bo po to właśnie, żeby wiedzę wyrazić, został kiedyś stworzony. Był jakby przejawem boskości.

Tomasz głosem przerywanym atakami kaszlu zmusił Olega do pokazania na mapie drogi na przełęcz. Trasa była znana, wielokrotnie przebyła w myśli razem z Veitkusem i Starym, ale wtedy, kiedy mówili o tym w wiosce, odczucie prawdziwej istoty drogi - odległości, zimna, mrozu - było niemożliwe. Bo przecież w domu było ciepło, jasno świeciły kaganki, a za ścianą szeleścił miarowo deszczyk...

Dick przyniósł zająca. Kozioł nie wiadomo czemu przestraszył się martwego zwierzątka i w gwałtownych podskokach oddalił się aż pod urwisko i zatrzymał się, kręcąc z potępieniem głową.

- Czuje, idiota, co go czeka - powiedział Dick i rzucił zająca na kamienie. - Zjedzmy go teraz, to lepiej nam się będzie szło. Tomaszowi też to wyjdzie na zdrowie jeszcze lepiej byłoby napić się świeżej krwi, zawsze tak robię na polowaniu, ale Tomasz pewnie nie będzie chciał?

Tomasz pokręcił głową.

- Co robicie? Oglądacie mapę? - zapytał Dick.

- Tomasz każe mi sobie przypomnieć trasę na wypadek, jeśli coś mu się stanie.

- Nie opowiadaj głupstw - mruknął Dick, oprawiając zrećcznie zająca. - Możesz jeszcze iść. A jak będzie zupełnie źle, to wrócimy.

Oleg doskonale wiedział, że Dick nie chce Tomasza obrazić. Dick przecież od początku mówił, że Tomasz może nie dojść, i uważał, że zatajanie własnych myśli jest głupotą.

- Nie szkodzi - powiedział Tomasz, który zupełnie nie dał po sobie poznać, jak wielką przykrość sprawia mu obojętny ton chłopaka. - Zawsze lepiej się na wszelki wypadek zabezpieczyć.

Kiedy pili, herbatę - wrzątek z suszonymi korzonkami - kozioł odważył się podejść bliżej, ale nie z tej strony, gdzie Dick rzucił skórę zająca, lecz z przeciwnej, odgradzając się od skórki ogniskiem i rozłożonym na ziemi namiotem. Wzdychał tak ciężko, że Marianna rzuciła mu kilka suszonych grzybów.

- Nie powinnaś tego robić - powiedział Dick. - Grzybów wcale nie mamy za dużo. Może przecież tak - . się zdarzyć, że nic więcej nie znajdziemy. A jak wracać.?

- Za przełęczą jedzenia jest pod dostatkiem - powiedział Tomasz.

- Nie wiemy wcale, czy to jedzenie jeszcze jest! - warknął Dick. - Głupio byłoby zginąć z głodu. A w czasie mrozów trzeba dużo jeść.

- W najgorszym razie zjemy kozła - powiedział Oleg.
- Dlaczego w najgorszym razie? - zdziwił się Dick. - Na pewno go zjemy, i to niedługo, bo jeszcze ucieknie.
- Ani mi się waź!- wykrzyknęła Marianna.
- Dlaczego? - Dick zdziwił się jeszcze bardziej.
- Dlatego, że kozioł jest miły. Wróci z nami do wsi i będzie tam żył. Już najwyższy czas, żebyśmy mieli swoje zwierzęta.
- Ja ci takich kozłów przyprowadza z lasu, ile tylko będziesz chciała - powiedział Dick.
- Nieprawda, tylko się tak chwalisz. Nie przyprowadzisz. Wcale ich tak dużo w lesie nie ma. A jak kozioł nie będzie chciał iść, to go za nic nie przyprowadzisz.
- Trudno będzie, ale pójdziemy razem, bo ty potrafisz rozmawiać ze zwierzętami - powiedział Dick i zaczął kroić zająca na jednakowe części, żeby było sprawiedliwie.
- Nie dam zabić - powiedziała Marianna - bo ona będzie miała małe.
- Kto? - zapytał Oleg.
- Kozioł - odparła Marianna. - Kozłica.
- A więc to koza? - zdumiał się Tomasz.
- Tak, kozłica, koza. Jestem pewna.
- To chyba rzeczywiście jest samica - powiedział Dick. - Po prostu się dotąd nie przyjrzałem.
- Zabawne - powiedział Tomasz.
- Nie ma w tym nic zabawnego - odpowiedziała Marianna. - Robinson Cruzoe też hodował kozy i pił ich mleko.
- Nic z tego nie będzie - zauważył Dick. - Próbowałem już. To trucizna.
- Marianna ma racje, niech koza sobie żyje - powiedział Tomasz. - Ten eksperyment może przynieść dobre rezultaty. Zawsze trzeba myśleć o tym, co będzie jutro.
- Ale trzeba też do tego jutra dożyć - powiedział Dick.
- Będziemy ją trochę dokarmiać - powiedziała Marianna.
- Tylko spróbuj!

- Będę jej oddawała swoją porcję. - Marianna nie zamierzała rezygnować. Dick pochylił głowę i przyglądał się jej jak nieznanemu zwierzątku.

Tomasz wstał i zaczął pakować namiot do worka. Dygotał z zimna.

- Może wrócisz? - zapytał go Dick.

- Za późno - odparł Tomasz. - Dojdę.

- Zastanów się - Marianna rozzłościła się na Dicka - jak można tak mówić! W pojedynkę nikt do wioski nie dojdzie.

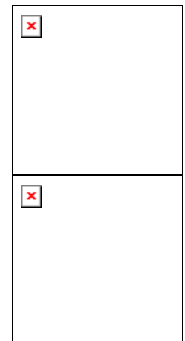
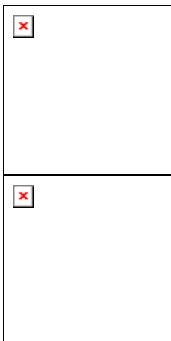
- Oleg może go odprowadzić.

Dick powiedział to tylko po to, żeby do niego należało ostatnie słowo. Przeliczył się jednak, bo ostatnie słowo należało do Marianny.

- Oleg jest potrzebniejszy za przełęczą niż ty - powiedziała spokojnie.

- Ty też? - zapytał Dick. Twarz miał nieruchomą, tylko blizna nad okiem lekko mu pulsowała.

- Trzeba ruszać - odezwał się Tomasz. - Jeśli dziś będziemy iść dobrym krokiem, to może zdołamy dotrzeć do płaskowyżu. Poprzednim razem ugrzęźliśmy w tym wąwozie. Śniegu było po pas. I zamieć.



Dolinka, którą spływał strumień, zwężała się stopniowo, ciemne kamienne ściany stawały się coraz bardziej strome i schodziły się coraz bliżej, kryjąc potok w wiecznym cieniu. Jego szum nabrał mrocznej barwy i dudnił między skalnymi ścianami jak w beczce. Było ponuro i groźnie - nikt z nich poza Tomaszem, nie był przedtem w górach i nawet Dick stracił swą niezmienną dotychczas pewność siebie, nie wybiegał do przodu, tylko wciąż zerkał w górę, jakby się bał, że za chwile spadnie mu na głowa jakiś kamień i często pytał Tomasza:

- No jak, szybko wyjdziemy?

- Do wieczora powinniśmy się stąd wydostać - odpowiadał Tomasz.

Tomasz, podobnie jak pozostali, rozgrzał się i nawet spocił, prawie nie kaszlał i szedł szybciej niż wczoraj. Tylko czasami chwycił się za bok.

- Tomaszu, poznajesz okolice? - zapytała Marianna. Dziewczyna szła z tyłu i poganiała koza, której cała ta podróż ostatecznie się znudziła i dlatego wlokła się z największą niechęcią, najwyraźniej tęskniąc za rodzinnym lasem.

- Jak by ci tu powiedzieć... - zawahał się Tomasz. - Poprzednim razem już tu nie dotarliśmy. A kiedy kilkanaście lat temu szliśmy z przełęczy, leżał tutaj śnieg, dni były krótkie, a my prawie nie rozglądaliśmy się za boki. Zawitała nam wtedy nadzieja, po raz pierwszy zaświtała nadzieja. Byliśmy jednak już bardzo zmęczeni. Droga stąd do wioski zabrała nam prawie tydzień...

Dick, idący przodem, nagle znieruchomiał i uniósł rękę.

Wszyscy stanęli. Zatrzymała się nawet koza, jakby i ona zrozumiała rozkaz.

Dick, z kuszą gotową do strzału, wolno ruszył naprzód.

- Patrzcie! - krzyknął. - Oni naprawdę tędy szli.

Za wielkim kamieniem, polśniewając matowo i odbijając się w płyciźnie strumienia, leżała cudowna rzecz.

Ten przedmiot zrobiony był z białego metalu i przypominał spłaszczoną kulę z białym narostem u góry. Do przedmiotu był przymocowany pasek, żeby go można było nosić przez ramię.

Dick podniósł przedmiot i powiedział:

- Pewnie kamień na niego spadł i wgniótł.

- Nie, to nie kamień. Tak było od nowości - powiedział Tomasz, podchodząc do Dicka i wyjmując mu przedmiot z ręki. - Tu był nasz ostatni popas przed doliną. Ostatni popas. I ktoś... No, oczywiście Veitkus To jest manierka Veitkusa. Ale się ucieszy, kiedy mu ją przyniesiemy!

- To się nazywa manierka? - zapytała Marianna, przyglądając się błyszczącemu przedmiotowi.

Tomasz poruszył przedmiotem i wszyscy usłyszeli, że wewnątrz pluszcze woda.

Uniósł manierkę do góry i powąchał.

- Cholera! - wykrzyknął. - Ja chyba zwariowałem.

- Co się stało? - zapytał Oleg. Bardzo chciał potrzymać manierkę w

rękach. Była dla niego symbolem tych wszystkich pięknych rzeczy, tych umiejętności, które zostały za przełęczą.

- Dzieciaki, słuchajcie, to przecież jest koniak!

Koza odeszła na bok i beknęła ze zdziwienia. Oleg podszedł do niej. W zagłębieniu między kamieniami leżał stos metalowych puszek i malutkich naczynek. Takiego skarbu nigdy w życiu nie widział i nawet nie wyobrażał sobie, że może istnieć.

- Tomaszu! - zawołała. - Popatrz, co jeszcze tu zostawiliście, o czym zapomnieliście!

- Nie zapomnieliśmy - odpowiedział Tomasz. - Rozumiesz, myśmy wtedy uwierzyli, że dojdziemy do lasu i po raz ostatni zjedliśmy prawdziwy posiłek. To są puszki po konserwach, rozumiesz? Niepotrzebne puszki po konserwach.

- Niepotrzebne?

- Wtedy wydawały się nam niepotrzebne. - Tomasz powąchał zawartość manierki. - Oszaleję, to mi się po prostu śni.

- A więc to prawda - powiedział Dick. - Więc naprawdę tędy szliście... Bo czasami wydawało mi się, że to tylko bajka, że wioska była zawsze.

- Wiesz, ja też czasami tak myślę - uśmiechnął się Tomasz. Upił łyk z manierki, posmakował i zmrużył z zadowolenia oczy.

- Będę żył - powiedział. Rozkaszał się, ale nie przestał się uśmiechać.

I nagle Oleg zrozumiał, że znalezienie manierki i puszek po konserwach podziałało nie tylko na niego czy Dicka. Najbardziej zmienił się po tym fakcie Tomasz. Jakby do tej chwili sam nie bardzo wierzył, że był kiedyś za przełęczą, miał coś wspólnego z innym światem, gdzie je się z błyszczących puszek i bywa koniak w manierkach. I ten obcy ale upragniony przez Olega i właściwie niepotrzebny Dickowi świat, natychmiast oddalił Tomasza. Przecież w istocie Tomasz był jednym z tych, zmarłych lub dorywających ostatnich dni ludzi, dla których las i te ośnieżone góry były symbolem ślepego zaułka i beznadziei, a dla Olega i tym bardziej Dicka - jedynym znanym miejscem w całym wszechświecie.

- Chodźmy - powiedział Tomasz, wstając z kamienia. - Teraz niemal już uwierzyłem, że dojdziemy, chociaż najtrudniejsza część drogi jest jeszcze przed nami.

Nagle rozkaszał się tak gwałtownie, że aż go zgięło w pół. Oparł się ręką o kamienną ścianę wąwozu i wtedy Oleg zauważył, jakie jego palce są żółte i cienkie. Dick i Marianna szli dalej i po chwili zniknęli za zakrętem.

- Wezmę worek - powiedział chłopak.

- Nie, zaraz mi przejdzie. Zaraz przejdzie... - Tomasz uśmiechnął się przeproszająco. - Wydawałoby się, że to ja powinienem wami dowodzić, dawać przykład wyrostkom. A tymczasem ledwie ciągnę za sobą nogi... Wiesz, pomyślałem sobie, że jeśli napiję się koniaku, poczuję się jak nowy. A to przecież naiwna myśl...

- Łyknij sobie jeszcze - poradził Oleg.

- Nie trzeba. Odzwyczailem się. W dodatku mam gorączkę... Żeby tylko dotrzeć do przełęczy! W takim stanie powinienem leżeć w szpitalu i leczyć sil, a nie uprawiać wspinaczkę. Ale bardzo bym chciał dojść.

Po jakichś dwóch godzinach wąż się skończył niewysokim urwiskiem, z którego małą siklawą spadał strumień. Sforsowali je z wielkim trudem. Tomasz tak osłabł, że trzeba go było dosłownie wciągać na górę. Kozę wwindowali na linach i przerażone zwierzę tylko cudem nikogo nie pokaleczyło, wierzgając cienkimi opancerzonymi nogami.

To było bardzo dziwne uczucie: przez wiele godzin szli ciasnym, mrocznym wąwozem, słysząc tylko szmer płynącej wody, i nagle znaleźli się na ogromnej otwartej przestrzeni, jakiej Oleg nigdy przedtem nie widział i nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

- Pokryty śniegiem płaskowyż rozciągał się na parę kilometrów, opierając się o ścianę gór za plecami. A w przodzie opadał ku szerokiej dolinie, najpierw nagiej, kamienistej, a dalej upstrzonej punkcikami drzew i krzewów. Jeszcze dalej, u linii horyzontu punkciki te zlewały się w ogromny, nieskończony las. Tam, o trzy dni drogi, leżała wioska.

- Właśnie tutaj - powiedział Tomasz - ciężko łapiąc oddech - właśnie tutaj zrozumieliśmy, że jesteśmy uratowani. Szliśmy od strony gór, co mówię szliśmy, czołgaliśmy się dźwigając chorych, zamierzając na śmierć, w nic już nie wierząc i nagle wyszliśmy na skraj tego płaskowyżu. Jak widzicie, wznosi się on trochę w naszą stronę i dlatego, dopóki nie dotarliśmy tutaj, nie wiedzieliśmy, że może nam zaświtać nadzieja. Walił śnieg, była ciężka zamieć... Kto był pierwszy? Chyba Borys. No tak, Borys. Wysforował się do przodu i nagle stanął. Pamiętam, jak nagle znieruchomiał, ale byłem wówczas tak potwornie zmęczony, że nawet mnie to nie zainteresowało. A kiedy podszedłem do niego, niczego mi nie powiedział. Płakał i całą twarz miał oblodzoną. Widzialność tego dnia była bardzo zła, ale czasami tuman śniegu rzedł na chwilę i mogliśmy zorientować się, że tam, w dole, jest dolina, a w dolinie rosną drzewa. To znaczy, że jest życie...

Wiał wiatr, na szczęście niezbyt silny, koza zaczęła skakać, dokazywać, cieszyć się z wolnej przestrzeni. Biegała, podrzucając kosmatym zadem i zostawiając na śnieżnym całunie głębokie, trójkątne ślady. Zatrzymała się koło brunatnej łysiny i, popiskując z radości,

zaczęła przeorywać zmarzniętą ziemię rogową naroślą, która sterczała jej na nosie. Widocznie w ziemi kryło się coś nieprawdopodobnie smacznego.

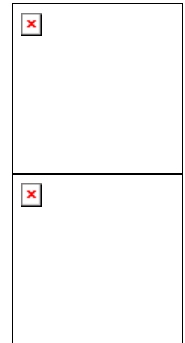
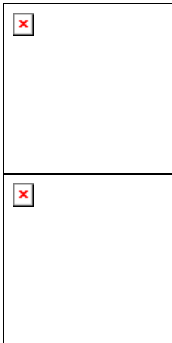
- Tu nie ma zwierzyny - powiedział Dick z potopieniem w głosie. Zwrócił się przy tym do Tomasza, jakby to on był temu winien.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - odparł Tomasz - za jakieś trzy albo cztery dni będziemy na miejscu.

- Podobno wy szliście dwa tygodnie.

- Szliśmy trzynaście dni. Ale wtedy była zima, mieliśmy wielu chorych i rannych, a teraz idziemy bez obciążenia. To zdumiewające, jakby to było wczoraj : stoimy z Borysem i patrzymy w dół... I rozumiemy, że zaświtała nadzieja.

Do zapadnięcia ciemności udało się pokonać płaskowyż i dojść do podnóża gór.



W nocy mocno się oziębiło. Był taki mróz, że Dick i Oleg położyli Tomasza i Mariannę między sobą. W Tomasz był taki zmordowany, że nawet nie oponował. Ciało miał gorące, ale w żaden sposób nie mógł się zagrzać i kiedy napadał go atak kaszlu, Oleg obejmował go, starając się rozgrzać, a Marianna dawała mu mikstury na kaszel, którą sama przyrządziła. Marianna nie spała i żeby jakoś wypełnić czas, rozmawiała po cichu z Olegiem. Dick, który był bardzo śpiący, zaczął demonstracyjnie parskać, a potem powiedział:

- Jutro nie będzie dziennego popasu, zrozumiano?

- No i co z tego? - zapytał Oleg.

- A to, że zmuszę do marszu, choćby nie wiem co.

- Nie bój się - uspokoił go Oleg. - Przez nas nie będzie żadnego opóźnienia.

- Nie obchodzi mnie przez kogo!

- Oleg zmilczał. Rozumiał, że Dick ma na myśli Tomasza. Obaj myśleli, że Tomasz śpi i nie słyszy. Ale Tomasz usłyszał i powiedział:

- Wygląda na to, że mam zapalenie płuc. Przepraszam was, że tak się stało.

- Powinieneś wrócić - mruknął Dick.

- Za późno - powiedział Tomasz. - Nie dojdę do osiedla.

- Głupi jesteś, Dick! - wykrzyknęła Marianna. - Zapomniałeś o prawie.

- O niczym nie zapomniałem - powiedział głośno Dick. - Ja wiem, że powinniśmy się opiekować chorymi. Wiem, co to jest obowiązek, wiem nie gorzej od ciebie. Ale zawsze mi powtarzali jedno i to samo: jeśli teraz nie dotrzemy do przełęczy, jeśli nie przyniesiemy narzędzi i żelaza, to wioska może zginąć. Nie ja to wymyśliłem, bo nie wierzę, że wioska zginie. Doskonale sobie radzimy bez żelaza i różnych takich. Ja ze swojej kuszy potrafię ubić niedźwiedzia na sto kroków.

- Nic dziwnego - powiedział Oleg - przecież masz żelazne groty do swoich strzał. Gdyby Siergiejew ich nie wykuwał, jak byś sobie poradził z tym niedźwiedziem?

- Mogę zrobić groty z kamienia. Tu nie chodzi o materiał, tylko umiejętność. Teraz pognali nas tutaj, w góry...

- Nikt cię nie gnał - powiedział Oleg. - Sam poszedłeś.

- Sam. Ja się niczego nie boję, ale wszyscy doskonale wiecie, że za parę dni zaczną walić śnieg i jeśli będziemy iść noga za nogą, to nigdy nie pokonamy przełęczy. Możemy utknąć tam na zawsze i nie wrócić. A to nie ma sensu.

- Co więc proponujesz? - zapytał Oleg. Ani Tomasz, ani Marianna nie wtrącali się do ich sporu, ale uważnie mu się przysłuchiwali. Olegowi wydawało się, że nawet koza nadstawiała ucha.

- Proponuję zostawić tu Mariannę z Tomaszem. Dać im koce i żywność. Zostawić wszystko. My we dwóch bez obciążenia z łatwością dolecimy do przełęczy.

Oleg nie odpowiedział, bo rozumiał, że Tomasza nie wolno zostawiać. Nie wolno go pozbawiać celu. To go zabije. Ale może Dick myśli, że on się boi iść dalej w dwójkę?

- Przestraszyłeś się? - zapytał Dick

- Nie o siebie - odezwał się wreszcie Oleg. - Jeśli Tomasz będzie chory, to nie zdoła obronić Marianny. A Marianna jego... A jeśli tu są drapieżne zwierzęta? Jak sobie z nimi poradzą?

- Marianna, dasz sobie radę?

- Dick nie zapytał, ale jakby rozkazał.

- Dojdę - powiedział Tomasz. Dojdę, nie bójcie się. Muszę dojechać... Idę tam już od szesnastu lat, więc muszę dojechać, zrozumcie!

A rano spór rozstrzygnął się sam. Z bardzo prostej przyczyny. Kiedy Oleg obolały, przemarznięty i zdrętwiały wygramolił się z niszy i mrużąc oczy od jaskrawego światła, wbiegł za skałę, żeby załatwić małą potrzebę, zobaczył na białej płachcie płaskowyżu - wiatr przez noc zasypał wszystkie ślady ludzi łańcuch wielkich zagłębień, w których nawet nie od razu domyślił się śladów. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym odbijał w śniegu wielkie beczki.

Oleg obudził Dicka i razem z nim ruszył ostrożnie wzdłuż śladów, w tym kierunku, który wskazywały wgłębienia od pazurów. Trop kończył się przy stromym urwisku, a więc zwierzę potrafiło również wdrapywać się na skały.

- Jaki on jest? - zapytał Oleg szeptem.

- Może własnym ciężarem zmiażdżyć dom - odpad Dick. - Żeby takiego upolować...!

- Próżne nadzieje - powiedział Oleg. - Nawet strzała z twojej kuszy nie przebije mu skóry.

- Będę jednak próbował - mruknął Dick. - Wracamy?

- Nie chciałbym zostawić tu Marianny z Tomaszem - powiedział Oleg.

- Przecież nie nalegam, chociaż to zwierzę może być trawożerne.

- Nie wolno ryzykować, nawet gdyby to była tylko wędrowna roślina...

- Gdzie byliście? - zapytała Marianna, która zdążyła już rozpalic ognisko. - Tomaszowi spadła gorączka. To dobrze, prawda?

- Dobrze - odpowiedział Oleg.

Powiedzieli jej o śladach, bo Marianna i tak by je zobaczyła. Ale dziewczyna wcale się nie zlekka. Mało to rozmaitych zwierząt żyje dokoła? Kiedy się je pozna, to okazuje się, że wcale nie wszystkie są złe i niebezpieczne. Zwierzęta zajęte są własnymi sprawami.

- Siadajcie - powiedziała Marianna. - Zjemy śniadanie.

Spod namiotu wygramolił się Tomasz. Był blady i chwiał się na nogach. W rękę trzymał manierkę. Siadając koło Olega odkręcił ją i łyknął koniaku.

- Trzeba się rozgrzać - powiedział ochryple. - Lekarze przepisywali kiedyś chorym i osłabionym czerwone wino.

Marianna sięgnęła po swój worek.

Wytoczył się z niego malutki grzyb.

Worek był rozdarty, pogryziony i pusty.

- A gdzie są grzyby? - zapytała Marianna Tomasza, jakby to on miał wiedzieć, gdzie są grzyby.

- Co? - Dick zerwał się na równe nogi. - Nie schowałaś na noc worka pod namiot?!

- Byłam okropnie zmęczona - powiedział Marianna. - Myślałam, że położyłam go pod spód, a on został na zewnątrz.

- Gdzie jest to bydło? - zapytał Oleg cicho. Zapłaci nam za to.

- Zwariowałaś? - krzyknęła Marianna. - Może to wcale nie koza?

- A kto? Ty? Tomasz? Co my teraz będziemy żarli? Jak dojdziemy?

- Mamy jeszcze mięso - powiedziała Marianna.

- Pokaż. Może jego też nie ma?

- Dick miał rację. Mięso też zniknęło. Zostało najwyżej dwadzieścia kawałków.

- Ja nie żartuję. - Dick chwycił kuszę. Koza, jakby domyślając się, co jej grozi, gwałtownie odskoczyła za skałę.

- Nie uciekniesz! - powiedział Dick.

- Poczekaj - powstrzymał go Oleg. - Poczekaj, zawsze zdążysz to zrobić. Przecież Marianna chce je hodować. Wiesz dobrze, co to znaczy dla wioski. Zawsze będziemy mieli mięso!

- Dla wioski najważniejsze jest, żebyśmy nie zdechli z głodu! - krzyknął Dick. - Jesteśmy jej nadzieją. Bez nas koza sama do wioski nie przyjdzie. Ona też nie ma co żreć, więc zaraz ucieknie.

- Nie, Dick, bardzo cię proszę - powiedziała błagalnie Marianna. - Przecież koza będzie miała małe, rozumiesz?

- No to idziemy z powrotem - powiedział Dick. - Skończyła się nasza wyprawa. Nie widzę w niej żadnego sensu.

- Czekaj - powiedział Tomasz. - Na razie jeszcze ja decyduję. Jeśli chcesz, pozwalam ci wrócić. Dojdiesz, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Ja pójdę dalej, a ze mną ci, którzy będą chcieli.

- Pójdę dalej - odezwał się Oleg. - Nie możemy czekać jeszcze trzy lata, bo nie wiadomo, co się przez ten czas stanie.

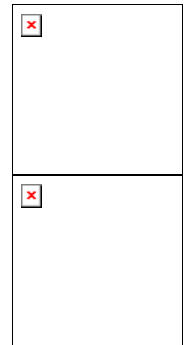
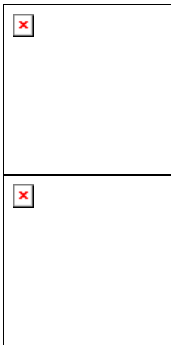
- Ja też pójdę dalej - powiedziała Marianna. - Dick też pójdzie. Nie myślcie, że on jest zły. Chce tylko, żeby było jak najlepiej.

- Nie musisz im tego tłumaczyć! - warknął Dick. - Ja zresztą i tak zabiję to bydło.

- Na dziś jeszcze mamy jedzenie - powiedział Tomasz. - Byłoby nieźle wrócić z kozą. Może nawet uda się ją objuczyć. W każdym razie i tak idziemy dwa razy szybciej niż wtedy. - Łyknął jeszcze koniaku i poruszył manierką, która cicho zabulgotała. Było jasne, że wody ognistej zostało już bardzo niewiele.

- Jeszcze dzień - zauważył Dick - i na powrót będzie za późno. A ciebie, Tomaszu, dotyczy to bardziej niż kogokolwiek z pozostałych. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Marianna zakrzętnęła się przy ognisku, żeby jak najszybciej zagotować wodę. Zostały jej jeszcze słodkie korzonki, ze dwie przygarści. Oleg pomyślał, że nie jest jeszcze najgorzej...



Już po dwóch godzinach marszu Oleg pomyślał, że Dick miał rację. Szli bezdrożem, przez głęboki śnieg, ciągle pod górę, a w dodatku trzeba było obchodzić skały, pokonywać szczeliny i lodowce. Powietrze było mroźne, ostre i zapierało dech w piersi. Oleg przywykł nie dojadać, przywykł do tego, że nigdy prawie nie zaznawał uczucia sytości, ale nigdy jednak dotąd nie głodował naprawdę, bo w wiosce były przecież jakieś tam zapasy żywności. A teraz głód dopadł go od razu, gdy tylko stało się oczywiste, że czekają ich wszystkich dni bez jedzenia, zupełnie bez jedzenia. Złapał się na tym, że patrzy łakomie na kozę, że marzy, aby wpadła do szczeliny skalnej i zabiła się, bo wtedy wszystko rozwiązałoby się samo i on, Oleg, nie musiałby postępować wbrew własnym słowom. Tomasz jakby podsłuchał jego myśli, bo powiedział:

- Mamy szczęście, że mięso samo idzie. Teraz nie mielibyśmy siły go nieść.

- Stójcie!

To był głos Dicka, który podszedł do kozy trzymając mocną linkę uplecioną z wodorosli. Zarzucił ją zwierzęciu na szyję, a ono pokornie czekało, aż zaciągnie pętlę. Potem Dick podał koniec postronka Mariannie i powiedział:

- Prowadź ją. Nie chcę ryzykować.

Olegowi było ciężko. Wyjął z worka Tomasza jego drewno i teraz własny worek orzynał mu się ramiona i przyginał do ziemi.

Około południa zatrzymali się na popas. Odpoczywali długo, bo wszyscy opadli z sił, a Tomasz tak się chwiał przy każdym kroku, że chciało się go podtrzymać. Twarz mu poczerwieniała, oczy zapuchły, ale on z uporem szedł ku swojej przełęczy, ku przełęczy, która znaczyła dla niego więcej niż dla pozostałych.

W jakieś dwie godziny po wyruszeniu w dalszą drogę Tomasz zaczął niespokojnie rozglądać się dookoła:

- Czekaście - powiedział. - Żebyśmy tylko nie zblądzieli. Tutaj powinien być obóz. Pamiętam tę skałę.

Usiadł na płaskim kamieniu, rozwinął drżącymi rękami mapę i zaczął wodzić po niej palcem. Dickowi nic to nie mówiło, więc poszedł naprzód, mając nadzieję coś upolować. Oleg przykucnął obok Tomasza.

- Jesteśmy tutaj - powiedział Tomasz. - Mamy za sobą już ponad połowę drogi. Nawet nie przypuszczałem, że można tak szybko iść.

- Mamy dobrą pogodę - zauważył Oleg.

- Wszystko wskazuje na to, że tu nocowaliśmy - ciągnął Tomasz. - Powinny być ślady, a niczego nie widzę.

- Minęło tyle lat - powiedział Oleg.

- No tak... - mamrotał pod nosem Tomasz. - Grupa skał... Trzy skały. Nie, cztery... Aha, o mało nie zapomniałem... - Odwrócił się w stronę Olega: Weź to. Koniecznie. Bez tego nie waz się chodzić do statku. Pamiętasz?

- To jest... licznik promieniotwórczości, prawda?

- Tak. Przecież wiesz, dlaczego nie mogliśmy zostać. Promieniotwórczość. Z mrozem byśmy sobie poradzili.

- Może trochę się prześpisz? - zapytał Oleg. - Odpoczniesz, a potem ruszymy dalej.

- Nie, nie wolno się zatrzymywać, bo to śmierć. Odpowiadam za

was... Gdzie jest ten obóz? Trzeba kopać głębiej... Pochowaliśmy ich, ale nie mieliśmy siły kopać głęboko, a koniecznie trzeba kopać głęboko, rozumiesz?...

Oleg podtrzymał Tomasza, który zaczął spadać z kamienia.

Wrócił Dick, zerknął z potępieniem na to, jak Oleg zawija Tomasza w koce, a Marianna rozdmuchuje ognisko, żeby zagrzać napar. Dziewczyna przestraszyła się, bo Tomasz był naprawdę bardzo chory. Dick milczał, ale Oleg był prawie pewny, że powtarza w duchu: "A nie mówiłem?".

Dalej mogli wyruszyć dopiero o zmroku. Tomasz oprzytomniał i na tyle przyszedł do siebie, że mógł iść zakutany w koce. Jego worek niósł Oleg, a kuszę wziął Dick. Szli tak, a właściwie wdrapywali się po stoku może z godzinę, a potem zrobiło nie ciemno i musieli szukać noclegu.

Oziębilo się. Niebo miało tam zupełnie inną barwę - nie tylko szarą, jak w lesie - i pod wieczór pośniawało odcieniami czerwieni i fioleto. To było niezwykle i dlatego groźne.

Bardzo chciało się jeść, tak bardzo, że Oleg gotów był żuć kamienie. I jeszcze ta bezczelna koza, która gdy tylko rzucili worki na śnieg, podbiegła do nich i spróbowała rozrzucić rogiem, jakby ludzie nie mieli nic innego do roboty, jak tylko chować przed nią jedzenie.

- Uciekaj! - krzyknął na nią Oleg i rzucił kamieniem. Koza odskoczyła z głośnym bekiem.

- Daj spokój - powiedziała cicho Marianna. Dziewczyna upadała ze zmęczenia. Poczerniała i jakby się skurczyła.

- Przecież ona nie rozumie. Ona myśli, że dostanie jeść, bo potrzebuje więcej niż człowiek.

Tego wieczoru Dick uderzył Mariannę.

Przeżuwali ostatnie kawałki mięsa, cieniutkie, nędzne skraweczki, i popijali je wrzątkiem. To było oszukaństwo, a nie jedzenie, bo człowiek musi zjeść przynajmniej garść wędzonego mięsa, żeby poczuć się sytym. A Marianna ukradkiem oddała swój kawałeczek wędzonki tej nieszczęsnej kozie. Myślała, że nikt tego nie zauważy, ale zauważyli wszyscy poza Tomaszem, który był półprzytomny. Oleg nie zareagował, ale postanowił powiedzieć później Mariannie, że to nie ma sensu. Doskonale rozumiał Mariannę, rozumiał jednak i to, że nie ma sensu karmić głupiej kozy, kiedy sami ludzie niedługo umrą z głodu.

Dick nie zamieszwał przejść nad tym do porządku dziennego. Wyciągnął nad ognisko rękę z długimi, silnymi palcami i uderzył Mariannę w twarz. Dziewczyna krzyknęła:

Oleg rzucił się na Dicka, który bez trudu go odtrącił.

- Idioci! - powiedział wściekłym głosem. - Banda idiotów. Postanowiliście zagłodzić się na śmierć? W ten sposób nigdy nie dojdziemy do przełęczu!

- To mój kawałek mięsa - powiedziała Marianna. Oczy miała suche i złe. - Nie chce mi się jeść.

- Chce ci się!- warknął Dick. - Jeszcze jak ci się chce! A na jutro zostało tylko po dwa kawałki mięsa. Po dwa małe kawałki. A droga idzie wciąż pod górę. Po co ja z wami poszedłem!

Nagle wyszarpnął zza pasa nóż i nie odwracając się rzucił nim w kozę. Nóż wyrwał kłak zielonkawej sierści i uderzył z brzękiem w skała. Dick poderwał się na równe nogi, a koza odskoczyła jak oparzona. Dick podniósł nóż. Jego czubek był ułamany.

- Idioci! - wrzasnął chłopak. - Dlaczego nikt tu niczego nie rozumie? Dlaczego nikt nie rozumie, że już nigdy nie wrócimy do domu?...

Nie patrzył na płaczącą teraz Mariannę, na Olegę, który zaczął podtykać dziewczynie swój ostatni kawałek mięsa, jakby była małym dzieckiem, na pokasującego słabo Tomasza, tylko szybko rozwinął swój koc i położył się na nim jak długi. Zasnął albo udał, że zasypia.

Oleg tej nocy prawie nie spał albo wydawało mu się, że nie śpi. Ktoś ogromny przeszedł niedaleko, zasłaniając błękitne światło poranka, potem zaraz bardzo się oziębilo - koza wstała i zaczęła szukać jakiegoś pożywienia - a potem Olega ugryzła pchła. Nie wiadomo, skąd się wzięła. Może ukrywała się dotychczas w odzieży albo w koziej sierści.

Ukąszenie śnieżnej pchły nie da się z niczym pomylić. I nikt nie myli, bo na razie nie wiadomo jeszcze jak się przed pchłami uchronić i jak leczyć skutki ich ukąszenia. To jest nieodwołalne jak śmierć. Można płakać, krzyczeć, wołać ratunku, ale i tak nikt nie pomoże. Wszystko odbywa się jak w zegarku. Najpierw ukłucie - zimne i lodowate, jak gdyby ktoś wbijał pod skórę cieniutki sopelek, który tak pali, że człowiek natychmiast się budzi i zamiera w bezsilnym przerażeniu. A potem nic - przez całą godzinę nic się nie dzieje. A jeszcze potem człowiek traci rozum. Zawsze i jednakowo, bez względu na to, czy przytrafia się to mądrymu czy głupiemu, dziecku czy starcowi. Przez pół godziny, godzina człowiek znajduje się we władzy koszmarów. Stary mówił, że gdyby miał mikroskop, łatwo by się z tą chorobą rozprawił zrozumiął, jaki fragment mózgu zostaje zaatakowany i jak pchła toksyna działa na układ nerwowy... Człowiek zaczyna szaleć, dziczeje, nikogo nie poznaje, może zabić kogoś najbliższego, a potem nie będzie pamiętał, jak to się stało. Kiedy w wiosce zdarzył się pierwszy przypadek tej choroby, nikt nie wiedział, co się stało. Trzeba było jeszcze kilku nieszczęść, żeby ludzie zrozumieli, że z tym amokiem, z pchłą gorączką nie trzeba walczyć, należy po prostu związać chorego i

począć, aż odzyska przytomność. Dlatego, kiedy Oleg poczuł lodowate ukłucie pchły, natychmiast ocknął się i obudził innych.

- Dick - powiedział przeproszającym tonem. - Masz gdzieś pod ręką postronek?

- Noi i znowu nie wyjdziemy o czasie! - wykrzyknął Dick.

- Przecież to przejdzie - powiedział Oleg.

- Po ataku trzeba co najmniej dwie godziny leżeć, wiem to po sobie - powiedział Dick. Nie złościł się na Olega, tylko na los, na pecha prześladowającego wyprawę.

Uczucie zimna w biodrze, tam gdzie ukąsiła pchła nie mijało. Oleg wciąż czuł ukłucie i wyobrażał sobie, jak zatruta mikroskopijną kropelką jadu krew płynie do mózgu, aby nań napaść.

Dick bez pośpiechu sprawdził postronek, a Marianna rozpałała ognisko.

- No cóż - powiedział Dick - podstawiaj się.

- Tylko żebyś czegoś sobie nie złamał - powiedziała Marianna. - Biedny Oleg!

- Nie pierwszy raz kogoś krępuję - powiedział Dick. - To paskudna rzecz, ta pchła. Rozluźnij się, Oleg i myśl o czymś innym, tak będzie ci łatwiej.

Najpierw związał Olegowi ręce na plecach, potem omotał mu pierś i nogi. Postronek wrzynał się w ciało, ale Oleg nie oponował, bo wiedział, że w ataku gorączki człowiek, tak samo jak szaleniec, robi się silny jak niedźwiedź.

- No tak - powiedział Dick. - Chyba nieźle cię związałem. Nie pije?

- Pije - Oleg spróbował się uśmiechnąć, ale policzki miał już zupełnie zdrewniałe.

- Słuchaj... - Dick rozejrzał się dokoła. - Gdzie jest koza?

- Koza? W nocy ją słyszałem.

- Pytam się, gdzie jest koza?! - głos Dicka zrobił się piskliwy ze złości. Przywiązałaś ją?

- Przywiązałam ją - odparła Marianna - ale ona pewnie się odwiązała.

- Pytam się, gdzie jest koza?! - Widocznie kipiąca w Dicku złość musiała znaleźć ujście, no i akurat nawinęła się koza, jako symbol wszelkich niepowodzeń.

- Dick, nie złość się - powiedziała Marianna, która starała się okryć Olega kocami. - Koza na pewno, szuka czegoś do zjedzenia, bo przecież żywe stworzenie musi jeść...

- Tu nie ma czego szukać. Dlaczego jej nie przywiązałaś? Dick wyjął spod namiotu swoją kuszę i wsunął nóż za pas.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Marianna, chociaż doskonale wiedziała dokąd.

Dick rozglądał się uważnie dokoła, starając się wypatrzeć na śniegu ślady zwierzęcia.

- Tak myślałem - powiedział. - Poszła z powrotem. W dół. Przez noc mogła przejść ze dwadzieścia kilometrów.

- Dick, zostań tu - powiedział nagle Tomasz głośno i wyraźnie. - Marianna sama znajdzie kozę, a ty ją przecież zabijesz.

- Możesz być tego pewien - odpowiedział Dick. - Możesz być tego pewien, że mam dość waszej głupoty!

- Pójdę, znajdę ją! - Marianna zapomniała o wrzątku. - Ty nie powinienesz teraz odchodzić. Tomasz jest chory, a Olega trzeba pilnować.

- Nic mu się nie stanie. - Dick przegarnął palcami bujną grzywę włosów. - Dasz sobie radę, Marianna.

I nie odwracając się, szybko i lekko ruszył śladami kozy w dół, tam, skąd wczoraj przybyli.

- On ją zabije - powiedziała Marianna. - Na pewno zabije. Diiick!

Odwróciła się do Olega i Tomasza.

- Co robić, powiedzcie, co robić?! Przecież jesteście mądrzy, przecież wszystko wiecie! Jak go powstrzymać?

- Ja tego nie potrafię zrobić - powiedział Tomasz. - Niestety, już nie jestem dla niego żadnym autorytetem.

- Zaraz... - odezwał się Oleg. - Tylko mnie rozwiąż. Może zdążę przed atakiem, może jeszcze zdążę?

Marianna tylko machnęła ręką. Zrobiła dwa kroki w stronę Dicka, zawróciła i popatrzyła na mężczyzn.

- Was też nie wolno zostawić.

- No to biegnij! - krzyknął nagle Tomasz. - Biegnij za nim!

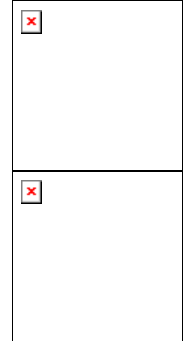
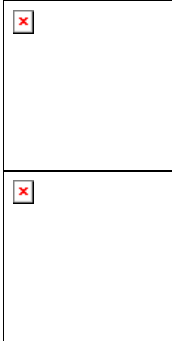
- Mogę?

- Biegnij - powiedział Oleg.

- Ale jak ja was mogę zostawić?... Co będzie, jeśli jakieś zwierze?

- Biegnij! - powtórzył Oleg. - I wracaj.

I Marianna lekko, jakby w ogóle nie dotykała śniegu, popędziła w dół za niewidocznym już Dickiem.



Koc, którym Marianna przykryła Olega, spadł z niego, chłopak nie utrzymał się pod skałą i zwałił się w śnieg. Oczy miał zamknięte, wargi rozedrgane, a twarz pociemniała z napięcia i wysiłku, z jakim chciał rozerwać więzy. Tomasz spróbował unieść się, wstać, żeby pomóc Olegowi, przykryć go albo przynajmniej ułożyć jego głowę na kolanach. Trzymanie głowy w czasie ataku bardzo choremu pomaga. Tomasz próbował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Oleg wyprężył grzbiet i dosłownie wyskoczył w powietrze, odpychając się pięściami od ziemi. Potoczył się w dół zbocza, parokrotnie przeokoziółkował, uderzył w głaz sterczący spod śniegu i znieruchomiał. Kurtkę miał w strzępach i śnieg nie tajał na jego nagiej piersi.

Tak nie można, pomyślał Tomasz, trzeba koniecznie do niego dotrzeć. Cholerna koza, cholerny Dick z jego cholernym kompleksem silnej jednostki. A przecież ten chłopak jest pewien, że ma rację i jest pewien, że powoduje nim wyłącznie troska o dobro nas wszystkich. I rzeczywiście ma rację - z punktu widzenia dzikusa, który nie umie patrzeć w przyszłość... Może istotnie Borys ma słuszość? Czy aby nie za szybko człowiek społeczny, homo civilisatus staje się dzikusiem? Może popełniliśmy błąd, pozwalając wyrastać na wilczęta, żeby łatwiej było im wyżyć w lesie? Ale przecież nie mieliśmy wyboru. Przez piętnaście lat my, dorośli, nie zdołaliśmy przecież dotrzeć do przełęczy. I nikt by tam nie dotarł gdyby nie dojrzał Dick i Oleg. Ciekawe, ile teraz mam gorączki? Pewnie powyżej czterdziestu stopni... Bardzo trudno oddychać. Nic dziwnego, obustronne zapalenie płac. To jasne, taką diagnozę każdy potrafi postawić sobie nawet bez lekarza. Jeśli nie dotrę do statku, to już po mnie. Mięso najtłuszczej nawet kozy mi nie pomoże. A iść muszę sam, bo dzieciaki nie doniosą mnie do przełęczy... Co z Olegiem? Ta pchła, to już największy pech... Wygląda na to, że

jakieś fatum ukryte w skałach lub w lesie nie pozwala nam na powrót do człowieczeństwa, że las pragnie przekształcić nas w swoje dzieci, w szakale na dwóch nogach, że zgadza się tolerować wioskę, ale jedynie jako swoje przedłużenie. Kontynuację, a nie negację. Tam, za głazem ciemnieje urwisko... Niezbyt wysokie, ale jeśli Oleg teraz spadnie na dół, to z pewnością się zabije. Jest przecież związany. Gdzie postronek, gdzie drugi postronek, trzeba przywiązać go do tego kamienia...

Tomasz liczył w duchu oddechy, jęczał i pełznął. Pełznął na szczęście w dół, gdyż nawet po równym nie zdołałby się posunąć nawet o krok. Śnieg, który dostał mu się pod ubranie straszliwie palił w obolałą, pękającą od kaszlu pierś. Pełznął więc w dół, ciągnąc za sobą nieprawdopodobnie ciężki, ołowiany postronek który wił się za nim jak wąż.

Oleg zatrzepotał po ptasiemu, usiłując zerwać opasującą go linkę. Głowa rytmicznie załomotała o kamień i Tomasz wręcz fizycznie wyczuwał ból chłopaka, dręczący go jak koszmar, ale mimo to realny. Olegowi w tym momencie wydawało się, że przygniótł go dach domu.

Zostało najwyżej dziesięć metrów drogi. Tomasz doskonale wiedział, że chłopak go nie słyszy, że nie może słyszeć, ale ciągle powtarzał: - "Poczekaj, jestem już niedaleko" - i starał się unieść głowę, aby zobaczyć czy nie wraca Marianna lub Dick, lecz oni jak na złość nie wracali...

Musiał dopełznąć, zdążyć dopełznąć zanim Oleg stoczy się na skraj urwiska. Wtedy będzie za późno również na to, aby wspinać się na przełęcz i zakończyć wyprawę trwającą dla Tomasza piętnaście lat. Te małe głuptasy nie wiedzą, że tam, za przełęczą, przede wszystkim i najpierw znajdą paczkę papierosów. Niechaj oni biegają, gapią się na wszystko okrągłymi ze zdziwienia oczami, a ja siądę na fotelu, na miękkim wygodnym fotelu i po raz pierwszy od tylu lat zaciągnę się papierosem. Marianna się przestraszy i zdziwi, dlaczego idzie ze mnie dym, a mnie od pierwszego papierosa zakręci się lekko w głowie... Dlaczego teraz kręci mi się w głowie? Przecież nie palę!

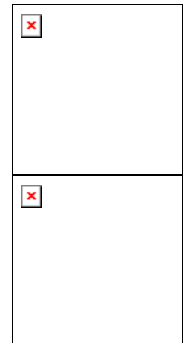
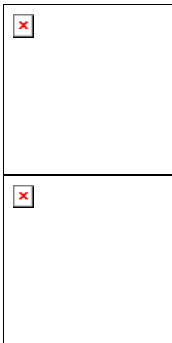
Kiedy Tomasz wreszcie dotarł do Olega - na kilka sekund stracił przytomność, bo wszystkie siły strawił na to, żeby dopełznąć. Ciało, powodowane jedynie urn szalonym pragnieniem, odmówiło teraz posłuszeństwa.

Ocucił go poryw lodowatego wiatru, niosący tuman ostrych kryształków śniegu, a może niewyraźne mamrotanie Olega i jego chrapliwy oddech. Tomasz marzył o tym, żeby zamknąć oczy i leżeć nieruchomo... Ale Oleg znów się sprężył, odepchnął skrzepowanymi nogami od głazu i przesunął o jakiś metr w stronę urwiska. Tomasz podciągnął do siebie postronek, zastanawiając się, jak by tu przywiązać chłopaka do ostrego kamienia i w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jak to się robi. A potem okazało się, że jego ręka jest pusta

- postronek leżał o kilka metrów za nim. Tomasz podciągnął się, żeby chwycić Olega za nogi, ale chłopak szarpnął się i odepchnął ciało starego człowieka, które już nie czuło bólu.

Tomasz zrozumiał, że w ten sposób Olega nie utrzyma, że chłopak nadal będzie się wyrywał, bo, nawet związany, jest o wiele silniejszy od niego - i dlatego wznowił swoją ślimaczą wędrówkę nad skraj przepaści, żeby znaleźć się między nią a Olegiem, stać się zaporą, przeszkodą, ciężką nieruchomą kłodą. Wydawało mu się, że pełźnie kilka godzin i przez cały ten czas namawiał, błagał Olega, żeby ten poleżał jeszcze trochę spokojnie. Kiedy wreszcie dotarł do wąskiej półki, oddzielającej Olega od przepaści, chłopak zsunął się już tak nisko, że Tomasz musiał dosłownie wcisnąć się między jego ciało a ostre kamienie na krawędzi urwiska.

I z pewnością Tomaszowi udało by się przetoczyć Olega w górę, chociaż o kilka metrów, ku bezpieczeństwu, gdyby sam zdołał utrzymać się na powierzchni rzeczywistości i gdyby nie postanowił odpocząć parę sekund, zanim zabierze się do swojej syzyfowej pracy...



Marianna przybiegła do obozowiska zadyszana i rozgorączkowana. Wydawało się jej, że droga zajęła jej parę minut, a w rzeczywistości nie było jej ponad godzinę. Biegła wprost do namiotu i dlatego nie od razu zrozumiała, co się stało. Zobaczyła tylko, że obóz jest pusty i w pierwszej chwili nawet uniosła brzeg namiotu, sądząc, że Tomasz kryje się tam przed śniegiem, chociaż płachta namiotu leżała płasko i nikogo pod nią nie mogło być.

Rozejrzała się dezorientowana dokoła i zobaczyła ślad na śniegu, biegnący w dół ku skale, ślad taki, jakby ktoś ciął po ziemi coś ciężkiego. Od razu wyobraziła sobie coś straszliwego - jak to zwierze zostawiające beczkowate tropy - ciągnącego obu mężczyzn. A winna temu była tylko ona, bo pobiegła ratować kozę i zapomniała o ludziach, o chorych ludziach w śnieżnej pustyni, czego robić nie wolno, nie wolno, nie wolno. I wszystko wyszło okropnie i głupio, bo nie dopędziła Dicka i nie znalazła kozy, tylko, przestraszyła się samotności wśród dzikich skał, zlekła się, że nie znajdzie drogi powrotnej do obozowiska, zlekła się o Tomasza i Olega, którzy zostali sami i bezbronni, popędziła z

powrotem, ale spóźniła się, spóźniła.

Marianna ruszyła wolniutko w dół, pociągając nosem i powtarzając płaczliwie:

- Mamusiu, mamusiuuu...

Na śniegu nie wiadomo czemu leżał postronek. Oleg się rozwiązał?

Obeszła szary głaz i zobaczyła, że na krawędzi urwiska leży związany Oleg, a Tomasza nigdzie nie ma.

- Oleg! Oleg! - krzyknęła. - Żyjesz?

Oleg nie odpowiedział. Spał. Ludzie zawsze zasypiają, kiedy kończy się atak. Był sam, ale ślad jego , ciała ciągnął się dalej, ku urwisku i kiedy Marianna spojrzała w dół - zobaczyła, że tam, niedaleko, o jakieś pięć metrów, leży Tomasz. Tomasz leżał w spokojnej, jakby nawet rozluźnionej pozie i dlatego dziewczyna nie od razu zrozumiała, że Tomasz już nie żyje. Pojęła to dopiero wtedy, kiedy pośpiesznie zeszła na dół i długo tarłosiła go, starając się obudzić. Zrozumiała, że Tomasz spadł ze skały i zabił się. Oleg, który ocknął się, słysząc dobiegający z doba hałas i lamenty Marianny, zapytał:

- Marianna, co się stało?

Zupełnie nie pamiętał, jak zepchnął Tomasza w dół, chociaż potem, według śladów i urywkowych majaczeń Olega, zdołali sobie odtworzyć całą sytuację, zrozumieć co i dlaczego się wydarzyło i domyślić się, dlaczego umarł Tomasz.

x
x

x
x

Dick wrócił do obozowiska po dalszych dwóch godzinach. Nie dopędził kozy i stracił jej trop na wielkim piarżysku. W drodze powrotnej napotkał ślady wielkiego nieznanego zwierzęcia i ruszył za nim. Postanowił ustrzelić zwierzynę, bo uznał, że kiedy przyjdzie do obozu z łupem to będzie mógł powiedzieć, że umyślnie zostawił kozę w spokoju, żeby zrobić przyjemność Mariannie. I święcie uwierzył w to, że zrobiło mu się żal Marianny, bo nie znosił żadnych niepowodzeń.

Kiedy dowiedział się, co zaszło w obozie pod jego nieobecność,

zachował się o wiele trzeźwiej i spokojniej niż pozostali. Powiedział do Olega:

- Nie gadaj głupstw. Nie jesteś przecież smarkaczem! Nikogo nie zabiłeś i niczemu nie jesteś winien. Przecież nie wiedziałeś, że spychasz Tomasza. Powinieneś mu być wdzięczny, że starał się utrzymać cię na skale. Może nic nie zdążył zrobić i pewnie tak było, ale jednak chciał cię uratować. Może nawet dobrze się stało, bo Tomasz był bardzo chory i mógł w każdej chwili umrzeć, a chciał iść na przełęcz. Trzeba by go nieść i przez to wszyscy by zginali. Nikt nie doszedłby do przełęczu i nikt by nie wrócił.

- Chcesz uspokoić Olega - powiedziała zapłakana Marianna. - Chcesz uspokoić Olega, a winni jesteśmy my oboje. Zostawiliśmy ich na pastwę losu. Gdybyśmy nie pobiegli za kozą, Tomasz by żył.

- Racja - odparł Dick. - Nie powinnaś lecieć za mną. To była głupota. Kobięca głupota.

- Czyżbyś nie miał sobie nic do zarzucenia? - zapytała Marianna.

Tomasz leżał między nimi z kocem zaciągniętym na twarz i jakby uczestniczył w tej rozmowie.

- Nie wiem - powiedział Dick. - Poszedłem za kozą dlatego, że potrzebujemy mięsa. Potrzebujemy go, żeby dojść. Wszyscy go potrzebujemy. Ja najmniej, bo jestem z was najsilniejszy.

- Nie chcę więcej z nim rozmawiać - załkała Marianna. - On jest zimny jak ten śnieg.

- Chcę być sprawiedliwy - powiedział Dick. - Nic nie pomnie jak będziemy lamentować i narzekać. Tracimy czas. Południe już dawno minęło.

- Oleg jest jeszcze za słaby, żeby iść - odpowiedziała Marianna.

- Nie jest tak źle - odezwał się Oleg. - Mogę ruszać. Trzeba tylko wziąć od Tomasza mapę i licznik promieniotwórczości. Mówił mi, że jeśli coś mu się stanie, trzeba wziąć te rzeczy.

- Nie trzeba - powiedział Dick.

- Dlaczego?

- Dlatego, że wracamy - powiedział Dick spokojnie.

- Ty tak postanowiłeś? - zapytał Oleg.

- To jedyna droga ratunku. Pojutrze będziemy w lesie, a tam coś upoluję. Doprowadzę was do wioski, obiecuję.

- Nie - odparł Oleg. - Idziemy dalej.

- Głupio gadasz - powiedział Dick. - Teraz nie mamy szansy na pokonanie przełęczy.

- Mamy mapę.

- Dlaczego jej wierzysz? Mapa jest stara. Wszystko mogło się zmienić. I nikt nie wie, jak długo trzeba jeszcze iść o głodzie po tym nagim śniegu.

- Tomasz powiedział, że szliśmy bardzo szybko, że został nam jeszcze tylko dzień drogi.

- Tomasz się mylił. Sam chciał tam dojść i dlatego mógł nas oszukiwać.

- Tomasz nas nie oszukiwał. Powiedział, że tam jest dużo jedzenia i że będziemy uratowani.

- On chciał w to wierzyć, ale był chory i nie bardzo rozumiał, co mówi. A ja wiem dobrze. Jestem pewien, że przeżyjemy tylko wtedy, kiedy zawrócimy.

- Ja pójdę na przełęcz - powiedział Oleg. Powiedział to patrząc na ciało przykryte kocem, jakby zwracał się do Tomasza, obiecywał mu pójść i dojść.

- Ja też pójdę - powiedziała Marianna. - Czy ty tego nie rozumiesz?

- Marianna! - wykrzyknął Dick i rąbnął pięścią w kamień. - Mogę jeszcze zrozumieć Olega, któremu Stary zawrócił w głowie. Zawsze mu powtarzał, że jest mądrzejszy i lepszy od nas, że jest niezwykły. On nie mógł być lepszy od nas w wiosce i w lesie. Zawsze nam ustępował, nawet tobie. Jemu ta bajka o , przełęczy i gadanina o dzikusach, którymi nie mamy prawa się stać, jest bardzo potrzebna. A ja nie czuje się dzikusiem. Nie jestem głupszy od niego. Jeśli Oleg jest tak pewien swego, to niech idzie sam. A ciebie nie puszcę i zabiorę na dół.

- Idiota! - wrzasnęła Marianna. - Wysłała nas wioska. Czekają na nas i bardzo liczą, że nam się uda.

- Żywi przyniesiemy więcej pożytku.

- Idziemy - powiedział Oleg i wyciągnął rękę w stronę koca, żeby wyjąć spod niego mapę i licznik. Potem powiedział wolno: - Wybacz Tomaszu, że przeze mnie nie doszedłeś. Wybacz, że zabieram ci takie cenne przedmioty - i odrzucił koc. Tomasz leżał z zamkniętymi oczami, twarz mu zbielała, a wargi zapadły. Oleg nie potrafił zmusić się do dotknięcia zimnego ciała.

- Poczekaj, ja sama - powiedziała Marianna. - Poczekaj...

Dick wstał, podszedł do skały, podniósł z ziemi manierkę, odkręcił ją i wylał resztkę koniaku na śnieg. Ostry, nieznamy zapach zawisł w mroźnym powietrzu. Po chwili Dick zakręcił pokrywkę i przewiesił manierkę przez ramie. Nikt nie odezwał się nawet słowem. Marianna podała Olegowi złożoną we czworo mapę i licznik promieniotwórczości, a potem jeszcze nóż Tomasza.

- Nie damy rady go zakopać - powiedział Dick. - Trzeba zanieść go pod skałę i przysypać kamieniami.

- Nie! - powiedział Oleg.

Dick uniósł w zdumieniu brwi.

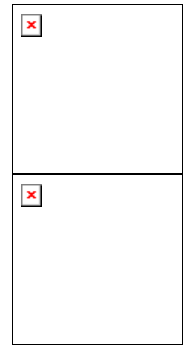
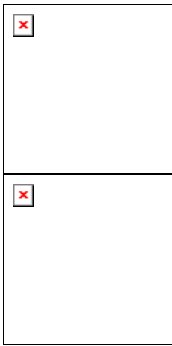
- A co proponujesz?

Głupio byłoby mu odpowiedzieć, że na Tomasza nie wolno rzucać kamieni. Przecież Tomasz jest martwy i wszystko mu teraz jedno.

Wszystko zrobił Dick. Oleg z Marianną tylko trochę mu pomogli. O niczym więcej już nie rozmawiali. Oleg i Marianna w milczeniu przygotowali się do drogi, zarzucili na plecy całkiem lekkie worki - nawet drzewa zostało najwyżej na dwa ogniska - rozdzielili na trzy ości ostatnie skrawki wędzonego mięsa, a potem Marianna odniosła Dickowi jego porcję. Dick bez słowa wsunął mięso do kieszeni. Potem Marianna i Oleg wstali i nie oglądając się ruszyli w górę, ku przełęczy.

Dick dopędził ich po jakichś stu metrach. Dognał, potem wyprzedził i odtąd szedł na czele. Oleg ledwie się włókł, bo jeszcze nie przyszedł całkowicie do siebie po ataku pchlej gorączki, a Marianna kulała, gdyż rozbiła sobie nogę, kiedy wdrapywała się na urwisko, więc Dick szedł powoli, żeby nie zostawali w tyle. Przeszli najwyżej dziesięć kilometrów, może nawet mniej, kiedy ściemniło się i trzeba było zatrzymać się na nocleg.

Oleg zwałił się w śnieg i natychmiast usnął. Nie można go było dobudzić, żeby napił się wrzątku ze słodkimi korzonkami i dlatego nie widział tego, co zobaczyli Dick i Marianna. Kiedy zrobiło się zupełnie i ciemno, chmury rozstały się nagle i na niebie pokazały się gwiazdy, których nikt z nich nigdy nie widział. Potem niebo znów się zachmurzyło, Marianna też usnęła, a Dick długo jeszcze siedział przy wygasłym ognisku z nogami w ciepłym popiele; parzył w niebo i czekał, że może chmury znów się rozejdą. Słyszał o gwiazdach - starsi ciągle mówili o gwiazdach - ale nigdy nie przypuszczał, jaka przestrzeń i majestat otwiera się przed człowiekiem, który widzi gwiazdy. Wiedział, że nigdy już nie wróci do wioski, ale był dumny z tego, że jest człowiekiem.



Wstali wcześniej, wypili dużo gorącej wody z roztopionego śniegu i dojedli słodkie korzonki, które tylko wzmogły głód. Tego dnia szli o wiele wolniej niż dotychczas, wlekli się noga za nogą i nawet Dick czuł się śmiertelnie zmęczony.

Nieszczęście polegało na tym, że nie wiedzieli, czy dobrze idą. Na mapie były narysowane punkty orientacyjne, które w terenie nie miały odpowiedników. Zrozumiałe, dlaczego: ludzie szli tedy poprzednim razem w zimie, kiedy było wiele śniegu, silny mróz i mgła, więc teraz wszystko mogło wyglądać inaczej.

Wpadli w rozpacz, bo przełęcz była abstrakcją, w którą nie sposób było uwierzyć tak samo, jak nie można sobie wyobrazić rozgwieżdżonego nieba, jeśli się go nie widziało i zna jedynie z opowiadań. Oleg bardzo żałował, że zasnął i przegapił niebo, ale miał nadzieję, że widowisko powtórzy się następnej nocy. Przecier chmury na niebie pociemniały, czasami prześwitywał przez nie błękit, a dokoła było o wiele jaśniej niż na dole, w lesie.

W południe, kiedy wszyscy zupełnie już opadli z sił, Dick kazał się zatrzymać i zaczął rozcierać śniegiem odmrożone policzki Marianny. Wtedy Oleg zobaczył opodal na śniegu granatową plamę. Powiedział o niej pozostałym nie od razu, bo do plamy było jakieś sto kroków; a nie miał już siły, żeby zrobić chociaż jeden.

Kiedy wreszcie Dick powiedział, że pora ruszać, Oleg pokazał mu granatową plamę. Poszli w jej stronę. Z każdym krokiem szybciej, bo najtrudniej jest wstać i przejść pierwsze parę kroków, zwłaszcza wtedy, kiedy się wie, że nie ma już nic do jedzenia i nawet drzewo na opał się skończyło.

To była krótka granatowa kurtka z mocnego, cienkiego materiału. Wmarzła do połowy w śnieg, a jeden wypchany śniegiem rękaw sterczał do góry. Dick okopał śnieg dokoła, żeby wydobyć z niego kurtkę, a Olega opanowała nagle jakaś gorączkowa niecierpliwość.

- Daj spokój - powiedział ochryple. - Po co? Przecież już niedługo dojdziemy. Rozumiesz, jesteśmy na dobrej drodze!

- Ta kurtka jest mocna - odparł Dick - i bardzo nam się przyda.
Marianna całkiem już zamarzła.

- Ja jej nie potrzebuję - powiedziała Marianna. - Chodźmy już lepiej.

- Idźcie ja was dogonię - powiedział Dick z uporem. - No, idźcie!

Ruszyli dalej, a Dick dogonił ich po piętnastu minutach, niosąc kurtkę w rękę. Marianna nie chciała jej jednak założyć, mówiąc, że kurtka jest zimna i mokra. Ale najważniejsze było to, że to była cudza kurtka, że ktoś ją nosił. I jeśli zdjął i rzucił, to może zginął, bo przecież wtedy zginęło wielu ludzi. Wiadomo, że z przełęczy wyszło siedemdziesiąt sześć osób, a do wioski dotarło niewiele ponad trzydzieści. Marianna bała się więc zobaczyć tych, którzy nie doszli.

Nie dotarli tego dnia do przełęczy, chociaż Olegowi wciąż się wydawało, że przełęcz będzie lada moment: wyminiemy tylko ten jezor lodowca - i będzie przełęcz. Pokonamy tylko to piarżysko - i będzie przełęcz... Tymczasem podejście stawało się coraz bardziej strome, a powietrza było coraz mniej.

Nocowali, a właściwie przeczekiwali noc, przytuleni do siebie, owinięci wszystkimi kocami i przykryci namiotem. Było tak zimno, że tylko przysypiali na moment, a potem budzili się, żeby zamienić się miejscami. Marianna, która leżała w środku, prawie nie dawała ciepła. Zrobiła się bezcielesna i kanciasta jak wychudzony ptak. Wstali o pierwszym brzasku. Nad nimi było granatowe rozgwieżdżone niebo, ale oni nie patrzyli na nie, a Olega ono nie zdziwiło.

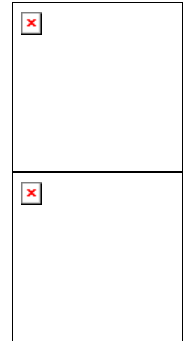
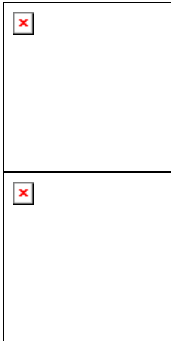
Potem przyszedł dzień. Przez chmury, przezroczyste jak mgła, świeciło słońce, zimne i jaskrawe, którego również nigdy nie widzieli. Ale oni nie patrzyli również na słońce. Wlekli się, pokonując szczeliny lodowca, obchodząc skalne uskoki i piarżyska, byle tylko naprzód i naprzód. Jako pierwszy szedł Dick, wybierając drogę, przewracając się i potykając częściej niż inni, ale ani na chwilę nie ustępując pierwszeństwa. On też pierwszy wszedł na przełęcz, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, bo stromizna, po której się wdrapywali, niezauważalnie dla oka wyrównała się i przeszła w płaskowyż, za którym widniały zębate, poszarpane szczyty gór. Całe szeregi pokrytych śniegiem i błyszczących w jaskrawym słońcu szpiczastych wierzchołków... Po dalszej godzinie ukazała się w dole kotlina, pośrodku której, ogromny nawet stąd, z kilometrowej wysokości, leżał ciemny dysk, lśniący matowym metalem. Dysk leżał w lekkim przechyle dokładnie pośrodku tej kotliny. Właśnie tam kapitan zdołał dociągnąć statek, kiedy po wybuchu w maszynowni przyrządy pokładowe kolejno zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Wylądował w tej kotlinie, choć była wtedy zima, trzaskający mróz, zamieć i noc.

Stanęli obok siebie. Trójka obszarpanych, wynędzniałych dzikusów z kuszami w rękach i workami ze skór zwierzęcych na ramionach,

opalonych mrozem i śniegiem, czarnych z głodu i zmęczenia - trzy mikroskopijne figurki w ogromnym, pustym, milczącym i obcym świecie. Stali tak i patrzyli na martwy statek, który szesnaście lat temu runął na tę planetę. Runął i nigdy już nie wystartuje.

Potem zacięli schodzić w dół stromym zboczem, czepiając się kamieni i starając się nie biec, schodzili coraz szybciej i szybciej, chociaż nogi odmawiały im posłuszeństwa.

W godzinę później byli już na dnie kotliny.



Szesnaście lat temu Oleg miał rok z kawałkiem, a Dick niecałe dwa lata. Marianny jeszcze wtedy nie było na świecie. Nie pamiętali więc, jak wylądował tu, w górach, statek badawczy "Polus". Ich pierwsze wspomnienia wiązały się z wioską, zwyczajnie żwawych, rudych grzybów i drapieżnych lian poznali wcześniej niż usłyszeli od starszych o tym, że są gwiazdy i inne światy. I las był dla nich o wiele bardziej zrozumiały niż opowieści o raketach lub domach, w których może mieszkać tysiąc ludzi na raz... Prawa lasu, prawa wioski, powstałe po to, aby zachować przy życiu garstce ludzi, proste prawa instynktu samozachowawczego ciągle usiłowały wyprzeć z pamięci Ziemię i zamiast pamięci zrodzić abstrakcyjną nadzieję, że kiedyś wreszcie ich odnajdą i ta cała mordęga się skończy. Ale jak długo mocna cierpieć i czekać, aż to się skończy? Dziesięć lat? Dziesięć lat już minęło. Sto lat? Sto lat znaczy, że znajdą i uratują nie ciebie, lecz twojego prawnuka, jeśli go będziesz miał i jeśli w ogóle wioska zdoła przetrwać tak długo. Nadzieja żyjąca w starszych dla drugiego pokolenia zupełnie nie istniała, gdyż przeszkadzała im tylko żyć w lesie. Ale tę nadzieję trzeba im było przekazać za wszelką cenę, bo nawet ze śmiercią można się pogodzić, jeśli człowiek ma świadomość przedłużenia swego rodu. Śmierć wtedy staje się ostateczna, kiedy wraz z nią ginie nie tylko sam człowiek, lecz również i to, w wiązało go z życiem.

Dlatego zarówno nauczyciel, jak i wszyscy inni starsi w miarę własnych sił starali się wykształcić w dzieciach poczucie przynależności do Ziemi, myśl o tym, że prędzej czy później izolacja się skończy. Jedynym realnym łącznikiem z tamtym światem był statek za przełęczą. Statek istniał, można było do niego dotrzeć jeśli nie w tym

tysiącdniowym roku, to w następnym, kiedy dzieci dorosną na tyle, że zdołają dotrzeć do przełęczy. Zdołają, jeśli zechcą, gdyż wewnątrznie oderwały się już od Ziemi, gdyż statek jest dla nich obcy, a las - swój. To ofiarowywało im możliwość przeżycia, której pozbawieni byli starsi, lecz w ostatecznym rachunku zagrażało śmiercią wiosce - ludzkiej kolonii.

Dick, Oleg i Marianna schodzili do kotliny, zbliżali się do statku, który mimo swego realnego ogromu pozostawał dla nich świętym symbolem i legendą. Nikt z nich nawet by się nie zdziwił gdyby przy dotknięciu statek rozsypał się w proch. Wracali do domu swych ojców, który przerażał ich tym że zawędrował do tej mroźnej kotliny ze snów i baśni opowiadanych przy mętym świetle kaganka w szałasie, kiedy za malutkim okienkiem z rybią skórą zamiast szyby ryczy śnieżna zamieć lub szeleści nieskończony deszcz cuchnący zgnilizną.

Istnienie statku odrodziło sny i legendy, nadało im nowy sens i nałożyło abstrakcyjne obrazki, zrodzone w wyobraźni i dlatego nieprecyzyjne, na realność jego ogromu. Starsi nigdy nie potrafili pojąć tej sprzeczności. Nic dziwnego, wszak dla nich za opowieścią o tym jak nastąpiła katastrofa jak nadszedł mróz i ciemność - stała pamięć o pustych korytarzach, w których stopniowo gaśnie światło i zaczynają wirować wdzierające się z zewnątrz kryształki lodu, o milczących silnikach awaryjnych i terkocie liczników promieniotwórczości. Dla słuchaczy - Olega i jego rówieśników - w opowieści zrozumiałe były jedynie kryształki lodu, płatki śniegowe, a korytarze kojarzyły im się z gąszczem lasu lub ciemną jaskinią, bo przecież wyobraźnia karmi się tylko tym, co człowiek sam widział i słyszał.

Teraz stało się zrozumiałe, jak uciekali stąd ludzie. Nieśli dzieci i rannych, chwyтали w pośpiechu te rzeczy, które wydawały się im najniezbędniejsze na początek. Nikt w tym momencie jeszcze nie myślał, że przyjdzie mu żyć w tym świecie zawsze, borykać się z nim na śmierć i życie, aby w końcu umrzeć. Gigantyczna skala i niewiarygodna potęga cywilizacji kosmicznej nawet tu dawały fałszywą pewność, że cały ten tragiczny wypadek jest w gruncie rzeczy jedynie przejściowym zakłóceniem, przypadkową awarią, która wkrótce zostanie usunięta, jak wszelkie inne zakłócenia i awarie.

To jest właśnie ten właz.

Opuszczając statek, jak mówił Stary, zamknęli go, zaś drabinę awaryjną, po której zeszli na śnieg, odstawili pod pobliski nawis skalny. To miejsce było zaznaczone na mapie, ale drabiny nie trzeba było szukać, bo śnieg stajał i drabina była dobrze widoczna. Niebieska farba złuszczyła się w niej w paru miejscach, a gdy Dick podniósł ją, na ziemi został wyraźnie odbity rysunek stojaków i szczebli.

Dick pstryknął paznokciem w drabinę..

- Lekka - powiedział. - Trzeba będzie zabrać.

Nikt mu nie odpowiedział. Marianna i Oleg stali opodal z zadartymi do góry głowami i gapili się na ogromny brzuch statku. Statek wydawał się zupełnie cały i zdolny do natychmiastowego lotu. Oleg wyobraził sobie nawet, jak ten ogrom odrywa się od gruntu wznosi się, coraz szybciej i szybciej, wzbija się w błękitne niebo i staje się czarnym krążkiem, punkcikiem w bezdennym błękicie...

Zmaczanie ustąpiło. Ciało było lekkie i posłuszne i niecierpliwa chęć, aby jak najszybciej zajrzeć do wnętrza potwora, mieszała się ze strachem, obawą przed zniknięciem na zawsze w metalowej skorupie statku.

Oleg przeniósł wzrok na pokrywę wjazdu awaryjnego. Ileż to razy Stary powtarzał mu: "Wjazd awaryjny nie jest zamknięty. Myśmy go tylko przymknęli: Wejdiesz do niego po drabinie, która jest bardzo lekka i przede wszystkim zmierzysz poziom promieniotwórczości. Promieniowania już nie powinno być, bo minęło przecież szesnaście lat, ale musisz to sprawdzić. Wtedy promieniowanie było jednym z powodów, który zmusił nas do tak szybkiej ucieczki. Mróz i promieniowanie radioaktywne. Czterdzieści stopni mrozu, ogrzewanie nie działa, no i promieniotwórczość... Musieliśmy stamtąd uciekać, bo nie mogliśmy zostać. Chociaż oddalać się od statku też nie mogliśmy, bo nie wiedzieliśmy przecież, że uda się nam dotrzeć w doliny, gdzie jest las i trochę ciepłej". Dick chodził wokół statku, przewracając grotem dzidy puste skrzynki i puszki. Poniewierało się tam również wiele innych rzeczy, które ludzie wyładowali ze statku, ale musieli zostawić.

- No jak? - zapytał Oleg. - Wchodzimy do środka?

- Idziemy - powiedział Dick, a potem podniósł drabinę i przystawił do wjazdu. Wszedł po niej, wsunął w szczelinę nóż Tomasza i nacisnął. Nóż się złamał. Może on się zatrzasnął? - powiedziała z dołu Marianna.

- Zostaliśmy zupełnie bez noży - burknął Dick.

- Stary mówił, że wjazd jest otwarty - zauważył Oleg.

- Stary wszystko zapomniał - powiedział Dick. - Czy starym w ogóle można wierzyć?

- Tomasz by wiedział co trzeba zrobić - westchnęła Marianna i rozplakała się.

Dick pchnął pokrywę wjazdu. Bez skutku. Wtedy uderzył w nią pięścią i Olegowi wydało się, że powinien rozlec się głęboki, niski dźwięk, ale żadnego dźwięku nie było. Oleg, poruszając wargami, chociaż dobrze czytał, doskonale umiał czytać, odcyfrował wryte w kadłub złote litery "POLUS".

- Zgadza się - powiedział. - "Polus".

- Myślałeś, że znaleźliśmy inny statek? - zapytał Dick i zeskokczył z drabiny w śnieg. - Trzeba się zastanowić. W ten sposób go nie otworzymy.

Marianna dygotała.

- Dziwne - powiedziała. - Nie było zimno, a teraz mnie trzęsie.

- Jesteś głodna - wytłumaczył jej Dick. - Tam na pewno żarcia jest pod dostatkiem. W żelaznych puszkach. Tomasz mówił, że takie jedzenie się nie psuje.

Oleg wdrapał się na drabinę, wyjął z kieszeni licznik promieniotwórczości i przystawił go do wąskiej szczeliny. Strzałka drgnęła, ale do czerwonej kreski nie doszła. Dużo jej jeszcze brakowało. W kotlinie było bardzo cicho, słyszał więc nie tylko rozmowa w dole, ale nawet oddech Marianny.

- Szkoda, że Tomasz nie doszedł - pociągnęła nosem Marianna. - Tak mi żal, że nie masz pojęcia.

- Pewnie, że szkoda - zgodził się Dick. - Ale on by i tak nie doszedł. I my przez niego byśmy nie doszli.

- Nie wolno tak mówić - powiedziała Marianna. - On to usłyszy i obrazi się.

- Przecież on nie żyje - odparł Dick. - A martwi nie słyszą.

- Nie wiem - powiedziała Marianna. - Może i słyszą.

Oleg nacisnął pokrywę włazu. Ani drgnęła. Jak ją pociągnąć do siebie?

- Nie wychodzi? - zapytała Marianna. Chmury zakryły słońce i od razu zrobiło się ciemniej, bardziej swojsko.

- Poczekaj! - wykrzyknął Oleg. - Dlaczego właściwie pchany i ciągniemy pokrywa, jak drzwi domu? Może drzwi statku otwierały się inaczej?

- Daj sobie spokój, złaż - powiedział Dick. - Zaraz przyniosę jakiś kamień.

- Kamieniem nie dasz rady - powiedział Oleg i zamyślił się. Jak mogą otwierać się drzwi? Do środka? Do środka już je pchaliśmy. Drzwi są trochę zagłębione w stosunku do pancerza, a więc może spróbować popchnąć je w bok? Tak normalnie nie bywa, ale jeżeli statek leci, to lepiej, żeby drzwi nie mogły się przypadkowo same otworzyć. Powiedział do Dicka: - Daj mi nóż.

Dick rzucił mu nóż, wsunął ręce pod pachy i zaczął przytupywać nogami. Zmarzł, nawet on zmarzł. Sypnął suchy śnieg. Byli sami na świecie, umierali z głodu i zimna, a statek nie chciał ich puścić do środka.

Oleg wsunął koniec ułamanego noża w szczelinę i spróbował popchnąć pokrywa w bok. Rozległ się głośny trzask i pokrywa lekko, jakby na to czekała, przesunęła się i znikła w ścianie. W porządku. Oleg nawet nie odwrócił się i nie krzyknął, żeby wszyscy widzieli, jaki to on mądry. Rozwiązał zadanie. Bardzo lubił rozwiązywać zadania. Wprawdzie to było niezbyt trudne, ale inni nie potrafili go rozwiązać. Oleg wetknął nóż za pasek i znowu wydobył licznik promieniotwórczości.

- Oj! - usłyszał głos Marianny. - Oleg otworzył!

- To dobrze - odezwał się Dick. - Włóż do środka. Na co czekasz?

Licznik wskazał, że niebezpieczeństwa nie ma. Wszystko w porządku.

- Tam jest ciemno - powiedział Oleg. - Daj pochodnie.

Nawet ostatniej nocy, kiedy było bardzo zimno, nie rozpalili pochodni. Zresztą pochodnie dają mało ciepła, tyle że długo płoną.

- Tam jest ciepło? - zapytała Marianna.

- Nie - odpowiedział Oleg i pociągnął nosem. Wewnątrz statku zachował się obcy, niebezpieczny zapach. Ogarnął go lęk, ale w tej chwili zrozumiał, że teraz jest ważniejszy od Dicka, że Dick jeszcze bardziej się boi. Tymczasem Dick wyjął krzesiwo i rozpalił pochodnię, która zajęła się malutkim, prawie niewidocznym w świetle dnia promieniem. Wdrapał się do połowy drabiny i podał pochodnię Olegowi, ale dalej nie poszedł. Oleg wziął pochodnię i wsunął ją do wnętrza statku. Przed nim była ciemność, a pod nogami zaczynała się równa, szorstka podłoga. Oleg powiedział głośno, żeby zagłuszyć strach:

- No to idę. Bierzcie pochodnię i za mną! Będę czekał na was w środku.

Podłoga ugiwała się trochę pod nogami, jak kora żywych drzew. Oleg wiedział jednak, że podłoga jest martwa i że takich drzew na Ziemi nie ma. Wydało mu się, że ktoś się do niego podkrada. Znieruchomiał, ale za chwilę zrozumiał, że słyszy odbite od czegoś echo własnego oddechu. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu i światło rozpalającej się pochodni oświetliło zaokrąglającą się u góry ścianę. Jasną i błyszczącą ścianę. Dotknął jej. Była zimna jak kamień.

Wreszcie znalazłem się w domu, pomyślał. Moim domem jest wioska, ale mam również drugi dom, który nazywa się kosmiczny statek badawczy "Polus" i który śnił mi się tysiące razy... Śnił się zupełnie inny

niż jest naprawdę. A przecież kiedyś tu byłem. Urodziłem się tu i gdzieś w ciemnej głębi statku znajduje się pokój, w którym stała moja kołyska.

- Gdzie jesteś? - zapytał Dick. Oleg obejrzał się. Sylwetka Dicka prawie bez reszty wypełniała otwór wjazdu.

- Chodź tutaj, nie bój się - powiedział Oleg. - Tu nikogo nie ma.

- Gdyby był, to dawno by już zamarł - odparł Dick bardzo głośno. Oleg podał mu swoją pochodnię, żeby tamten mógł przypalić swoją, a potem zapalić pochodnię Marianny.

Z trzema pochodniami od razu zrobiło się jaśniej, chociaż bardzo zimno. O wiele zimniej niż na zewnątrz, bo tam było żywe powietrze, a tu martwe i zastałe. Korytarz wkrótce zakończył się drzwiami, ale Oleg już wiedział, jak je otworzyć. Marianna i Dick zobaczyli jak on to robi i zrozumieli, że Oleg zachowuje się o wiele pewniej niż oni. Może nie była to jeszcze prawdziwa pewność siebie gospodarza, ale w każdym razie jakieś poczucie więzi ze statkiem, który im wydawał się przerażającą, groźną i straszliwą pieczarą. Bali się go tak bardzo, że gdyby nie głód i lęk przed lodowatą pustynią, zostaliby na zewnątrz. Gdyby Tomasz dotarł z nimi do statku, wszystko wyglądałoby inaczej. Oleg nie mógł podjąć się roli przewodnika i odkrywcy tajemnic, ale lepszy już był Oleg niż nikt.

Za drzwiami była okrągła sala. Taka ogromna, że zmieściłaby się w niej cała wioska.. Mimo światła trzech pochodni jej strop krył się w ciemności.

- Hangar - powiedział Oleg, powtarzając wyuczone na pamięć słowa Starego. Znajdują się tu lądowniki i inne pojazdy planetarne. Jednak przy lądowaniu wszystkie zasilacze uległy zniszczeniu.

- Pozbawiło to załogę i pasażerów statku wszelkich środków lokomocji i zmusiło ich do pieszej wędrówki przez góry - zakończyła Marianna.

Stary na lekcjach zmuszał ich do uczenia się na pamięć historii wioski, początków tej historii, żeby nie poszła w zapomnienie. „Jeśli ludzie nie mają papieru, to uczą się historii na pamięć - powtarzał. "Bez historii ludzie przestają być ludźmi. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i całych społeczności.

- Ten marsz spowodował wiele ofiar... - chciał kontynuować Dick, ale nie dokończył, zamilkł. Tu nie wolno było głośno mówić.

Przed nimi, przegradzając drogę, leżał cylinder długości około dziesięciu metrów.

-A - powiedział Oleg - to jest ten kuter, który chcieli ręcznie wyciągnąć z hangaru, ale nie zdążyli. Musieli uciekać przed

promieniotwórczością.

- Jak zimno - powiedziała Marianna.

- On trzyma w sobie mróz jeszcze od zimy - powiedział Dick. - Dokąd teraz? - zapytał, uznając w ten sposób zwierzchnictwo Olega.

- Tu powinny być otwarte drzwi prowadzące do przedziału silnikowego - odparł Dick. - Ale nie wolno tam wchodzić. Musimy odszukać schody na górę.

- Jak ty się dobrze wszystkiego nauczyłeś! - wykrzyknęła Marianna.

- Przydało się, jak widzisz.

- Tu powinno być mnóstwo różnych rzeczy - powiedział Dick.

- Ale jak my je ze sobą zabierzemy?

- A może zmarli wrócili tu i chodzą dokoła? - powiedziała Marianna.

- Przestań, bo dam w łeb - powiedział Dick.

- No jasne! - Oleg zatrzymał się gwałtownie.

- Co? Co zobaczyłeś?

- Wiem, co trzeba zrobić. Jeśli zagniemy końce drabiny do góry, to wtedy będzie można ją załadować i ciągnąć za sobą. Jak sanie, które zrobił Siergiejew.

- A ja myślałam, że zobaczyłeś nieboszczyka - powiedziała Marianna.

- Ja też o tym myślałem - mruknął Dick - ale jeszcze za wcześnie na wyginanie drabiny.

- Pierwsze drzwi - powiedział Oleg. - Tam nie wolno wchodzić.

- Ja zajrzę - zdecydował Dick

- Tam z pewnością jest promieniotwórczość - ostrzegł Oleg. - Stary ciągle to powtarzał.

- Nic mi ona nie robi. Jestem silny - powiedział Dick.

- Promieniotwórczość jest niewidzialna. Doskonale o tym wiesz, przecież się uczyłeś. - Oleg ruszył dalej, trzymając pochodnię blisko ściany. Ściana była nierówna. Były w niej nisze i otwarte tablice z guzikami i zimno połyskującymi ekranami.

- A Tomasz był inżynierem i wiedział, co znaczą te guziki i jaką siłę w sobie kryją:

- Tyle wszystkiego nabudowali - powiedział Dick, wciąż

niepogodzony ze statkiem - a jednak się rozbili.

- Ale za to przylecieli przez niebo - przypomniała mu Marianna.

To są właśnie te drzwi - powiedział Oleg. - Tędy dojdziemy do pomieszczeń mieszkalnych i kabiny nawigacyjnej.

Jak to zawsze brzmiało: "kabina nawigacyjna", "sterówka"... Jak zakłęcia.

I oto teraz, za chwilę, zobaczą kabinę nawigacyjną.

- Pamiętasz numer swojego pokoju? - zapytała Marianna.

- Kajuty - poprawił ją Oleg. - Oczywiście, że pamiętam. Czterdzieści cztery.

- Ojciec mnie prosił, żebym zajrzała i zobaczyła, jak tam jest. Nasza miała numer sto dziesięć. A ty urodziłeś się na statku? Prawda?

Oleg nie odpowiedział. Zresztą to pytanie nie wymagało odpowiedzi. Dziwne było, że Marianna myśli tak samo, jak on, bo zawsze się dziwimy, kiedy ludzie, których uważamy za niezbyt mądrych, nagle zaczynają myśleć o tym samym, co i my.

Oleg odsunął drzwi i gwałtownie odskoczył.

Zapomniał, że można się tego spodziewać. Stary uprzedzał, że na statku może działać oświetlenie awaryjne, niezależne od źródeł zasilania. Na zasadzie fluorescencji czyli samoświecenia. Są takie farby, które potrafią wydzielać światło przez wiele lat. Takim farbami pomalowane są korytarze i kabina

Światło płynęło zewsząd i znikąd. Było wystarczająco jasno, żeby pochodnie jakby przygasły, a ich płomień stał się niewidoczny i niepotrzebny.

- Oj! - szepnęła Marianna. - A może tu ktoś mieszka?

- Nieboszczyki - spróbował żartować Dick.

- Dobrze, że jest światło - powiedział Oleg - bo możemy zaoszczędzić pochodnie.

- Jakby nawet cieplej - zdziwiła się Marianna.

- To tylko złudzenie - powiedział Oleg. - Ale na pewno znajdziemy tu jakieś ciepłe rzeczy i będziemy spać pod dachem.

- Nie - powiedział Dick, który został trochę z tyłu i jeszcze nie wszedł do jasnego korytarza. - Ja tu spać nie będę.

- Dlaczego?

- Będę spał na śniegu, bo tam cieplej.

Oleg rozumiał, że Dick boi się spać w statku, ale on statku się nie lękał i chciał w nim zostać. Może z początku trochę się przestraszył, ale teraz wiedział, że to jest jego dom.

- Ja też tu nie będę spała!- wykrzyknęła Marianna. - Tu mieszkają cienie tamtych ludzi. Ja się ich boję.

Prawa ściana korytarza była zrobiona z materiału tak przezroczystego, jak cienka warstwa wody. Marianna przypomniała sobie jego nazwę: szkło. Za nim były zielone rośliny z zielonymi listkami. Takich zielonych listków w lesie nie było.

- One nie złapią? - zapytał Oleg.

- Nie - odparła Marianna. - One zamarzły. A w dodatku na Ziemi rośliny nie gryzą, nie pamiętasz? Przecież ciocia Luiza opowiadała nam o tym.

- To nieważne - powiedział Dick. - Idziemy. Nie będziemy już dłużej tak włóczyć się bez celu. Może tu wcale nie ma jedzenia? Niedługo zdechnę z głodu!

Dziwne, pomyślał Oleg, zupełnie nie chce mi się jeść. Tak dawno nie jadłem, a wcale nie jestem głodny. To nerwy.

Dziesięć kroków dalej szkło było rozbite. Marianna wyciągnęła rękę, żeby dotknąć rośliny.

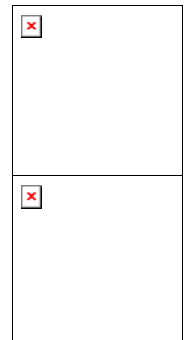
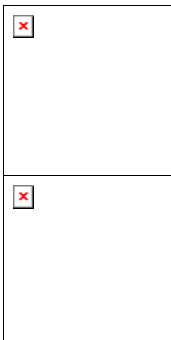
- Nie wolno!- ostrzegł Dick.

- Ja wiem lepiej - powiedziała dziewczyna, ja je czuję. A te rośliny są martwe.

Musnęła gałązkę i liście rozsypały się w pył.

- Szkoda - westchnęła Marianna. - Szkoda, że nie ma nasion. Zasielibyśmy je w wiosce.

- Najważniejsze jest z prawej strony - powiedział Oleg. - Tam znajdują się magazyny. Chodźmy zobaczyć, co w nich jest.



To była dziwna, cudowna uczta. Otwierali puszki - Dick nożem, a Oleg domyślił się, że można to zrobić bez noża, naciskając palcem na krawędź puszki - i próbowali po kolei wszystko, co było puszkach i tubkach. Prawie zawsze było to smaczne i nieznanne. I nie żał było puszek, bo były tam całe pokoje pełne pojemników i skrzynek, miliony puszek i nieprzebrane ilości najrozmaitszych innych produktów. Pili skondensowane mleko, ale nie było przy nich Tomasza, który powiedziałby, że to jest mleko skondensowane, łykali szprotki, ale nie wiedzieli, że to są szprotki, wyciskali z tubek dżem, który wydał im się zbyt słodki, ćpali mąkę, nie wiedząc, że to jest mąka. Marianna zmartwiła się, że tak zapaskudzili całą podłogę, ale zaczęła robić chłopcom wyrzuty dopiero wtedy, kiedy już się najadła. Późni wszyscy jedli i próbowali jedzenie tylko z ciekawości i nie brali do ręki jednakowych opakowań.

A potem jeszcze zaczął morzyć ich sen. Oczy kleiły się ze zmęczenia i wyczerpania. Mimo to Olegowi nie udało się namówić Dicka i Marianny, żeby zostali na statku. Wyszli we dwójkę, a Oleg, gdy tylko ich kroki ścichły w korytarzu, przestraszył się nagle i ledwie się powstrzymał, żeby nie pobiec za nimi. Moi pobiegłby, gdyby nie był tak śmiertelnie zmęczony. Zwalił się na podłogę, odsuwając na boki puszki po konserwach i spał przez wiele godzin. Czas na statku stał jednak w miejscu, a przynajmniej nie dało się w żaden sposób uchwycić jego upływu. Oleg spał spokojnie, bez snów i myśli, o wiele spokojniej niż Dick i Marianna, gdyż Dick, nawet taki zmęczony, budził się kilkakrotnie i nadstawiał ucha, czy nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa. Wtedy też natychmiast budziła się Marianna, leżąca z głową opartą na jego piersi. Nakryli się wszystkimi kocami i namiotem i nie było im zimno, bo wieczorem zaczął padać gęsty śnieg i przysypał namiot, zamienił legowisko w wysoką zaspę. Dick, który słyszał przez sen szelest kryształków lodu rzucanych wiatrem w ścianę zwisającego nad nim statku, myślał półprzytomnie, że to bardzo dobrze, że pada śnieg, bo zwierzęta, które mogą gdzieś tu żyć, nigdy ich nie zauważą.

Oleg ocknął się pierwszy. Obudził się dlatego, że zmarzł na kość. Długo podskakiwał w miejscu, żeby się rozgrzać, a potem najadł się. To było niezwykle uczucie - nie myśleć, czy wystarczy jedzenia. Dawno go już nie doznawał. Trochę bolał go brzuch, chociaż powinien boleć znacznie mocniej. Wstyd był patrzeć na resztki wczorajszej uczty, więc Oleg odsunął w kąt puste i na poły puste puszki. Trzeba iść dalej, pomyślał. Zawołać tamtych? Nie, na pewno jeszcze śpią... Wydawało mu się, że spał zaledwie parę minut.

Postanowił rozejrzeć się trochę po statku, a potem dopiero wyjść na zewnątrz i obudzić Dicka Mariannę. Na statku nikogo nie ma, od dawna nie ma, więc nie ma się kogo bać. Nie wolno tracić czasy Trzeba się zbierać do powrotu, bo za dwa lub trzy dni przełęcz zasypie śniegiem. A

mytu sobie śpimy Czy w takiej sytuacji można spać?

Oleg, jak prawdziwy mieszkaniec lasu, doskonale orientował się w terenie. I nie tylko. Nawet na statku. Nie bał się zabłądzić i dlatego spokojnie ruszył pochylnią w górę, na pokład mieszkalny. Chciał odnaleźć kajutę numer czterdzieści cztery. Jego kajutę. Wiedział, że dopóki jej nie zobaczy, statek nie będzie dla niego prawdziwym domem.

Drzwi z okrągłą tabliczką "44" znalazł po godzinie. Nie dlatego, że trudno je było znaleźć, tylko z tego powodu, że po drodze zaglądał do różnych pomieszczeń. Najpierw trafił do mesy, gdzie zobaczył długi stół z kryształowymi solniczkami i naczyniami na różne przyprawy. Bardzo mu się spodobały. Włożył je nawet do worka, bo pomyślał, że matka ucieszy się, kiedy przyniesie jej takie ładne przedmioty. Potem długo przyglądał się szachom. Widocznie przy wstrząsie pudełko spadło na podłogę i rozbiło się, a figury rozsypały się po dywanie. Nikt mu nigdy nie opowiadał o szachach, więc Oleg uznał, że są to rzeźby nieznanego mu ziemskich zwierząt. Zaskoczył go też i zdumiał sam dywan, na którym nie było żadnych szwów, a więc musiał być zrobiony ze skóry jednego zwierzęcia. Jakie to ziemskie zwierzę jest tak wielkie i w dodatku ma takie dziwne wzory na skórze? Musi to być zwierze morskie, bo Aggie opowiadała, że największe zwierzęta żyją w oceanach i nazywają się wieloryby. Ale Olegowi dawniej nie wiedzieć czemu wydawało się, że wieloryby mają gładką skórę. Znalazł jeszcze mnóstwo innych, niezrozumiałych przedmiotów i pod koniec godziny, której potrzebował, żeby dotrzeć do kajuty numer czterdzieści cztery, był tak oszołomiony wrażeniami, że poczuł się kompletnie zmęczony i ogłupiały. Nie, był zrozpaczony i wściekły na swą tępotę i bezradność, na to, że Tomasz nie doszedł do statku i nie może powiedzieć, co to wszystko znaczy... Wiedział, że to niesprawiedliwe i głupie, ale największy żal miał jednak do Tomasza, jakby ten, umierając, oszukał go, zrobił mu na złość.

Przed drzwiami do kajuty numer czterdzieści cztery Oleg stał dłuższą chwilę, bojąc się je otworzyć, chociaż wiedział, że niczego szczególnego tam nie znajdzie. Wiedział też, dlaczego. Matka wprawdzie wiele razy mówiła, a i inni to wciąż powtarzali, że ojciec zginął w maszynowni podczas wybuchu reaktora, ale on nie wiedzieć czemu myślał, że ojciec może być za tymi drzwiami, że mógł później, kiedy wszyscy odeszli, przekonani o jego śmierci, ocknąć się, dotrzeć do swojej kajuty i tam zamarznąć. Nie wiadomo czemu Oleg nigdy nie wierzył w śmierć ojca, który dla niego zawsze pozostał żywy, samotny i porzucony na statku. Może płynęło to z wewnętrznego przekonania matki, która była pewna, że ojciec żyje. To był jej koszmar, jej starannie przed wszystkimi ukrywana choroba. Nawet przed synem, który doskonale o niej wiedział.

Wreszcie chłopak zmusił się do otwarcia drzwi. W kajucie było ciemno, bo ściany jej były pomalowane zwyczajną farbą. Trzeba było zapalić pochodnię i poczekać, aż oczy przyzwyczają się do półmroku.

Kajuta składała się z dwóch pokoi. W pierwszym stało biurko i tapczan, na którym ojciec nocował, a w drugim, wewnętrznym pokoju mieszkała matka z nim, Olegiem, malutkim niemowlęciem.

Pokój był pusty. Ojciec nie wrócił do niego. Matka się myliła, ale Olega czekała inna niespodzianka, inny wstrząs, wyraz martwego czasu, w którym żył przez te wszystkie lata statek od momentu, kiedy ludzie go porzucili, do dnia, w którym zjawił się na nim Oleg.

W małym pokoiku stało łóżeczko dziecinnie. Natychmiast zrozumiał, że ta miękka, elastyczna konstrukcja podwieszona na sprężynach jest przeznaczona dla małego dziecka. I oto nie wiadomo czemu, przed chwilą zabrano stąd dziecko, zabrano w wielkim pośpiechu... Zostawiono nawet jedną maleńką skarpeteczkę i kolorową grzechotkę. Oleg, jeszcze nie w pełni rozumiejąc, że spotkał się z samym sobą w tym rezerwacie zakrzepłego czasu - podniósł grzechotkę i potrząsnął nią. Właśnie w tym momencie, usłyszawszy dźwięk grzechotki i, co dziwne, rozpoznawszy go, uświadomił sobie realność statku, realność tego świata, o wiele głębszą i prawdziwszą niż rzeczywistość wioski i lasu. W normalnym życiu nie można spotkać się z samym sobą. Przedmioty znikają, a jeśli któryś z nich nawet się uchowa, to staje się pamiątką, talizmanem. A tutaj w tulei przymocowanej do siatki łóżeczka wisiała niedopita buteleczka mleka. Mleko zamarzło, ale można je było rozgrzać i dopić. Wrócić po szesnastu latach i dopić.

I zobaczywszy siebie, spotkawszy się z sobą, cały jeszcze pod wrażeniem tego spotkania, Oleg zaczął szukać śladów pozostałych dwojga ludzi, którzy żyli za przepaścią martwego czasu - ojca i matki. Matkę odnaleźć było łatwo. Uciekła stąd, zabierając ze sobą jego, Olega, bo na jej łóżku stojącym w głębi pokoju poniewierał się zmięty, zerwany z siebie w pośpiechu szlafrok. Miękki pantofelek wyglądał spod łóżka, książka założona kartką papieru leżała na poduszce. Oleg uniósł książkę, ostrożnie, żeby się nie rozpadła w pył, jak rośliny z korytarza. Ale książka doskonale zniosła mróz. Nazywała się "Biesy i była napisana przez Dostojewskiego. To była gruba książka, a na zakładce widniały niezrozumiałe wzory - matka była chemikiem teoretykiem. Oleg nigdy nie widział pisma matki, bo w wiosce nie było na czym pisać, nigdy też nie widział książki, bo podczas ucieczki nikt nie myślał o zabraniu ich ze statku... Słyszał nazwisko Dostojewskiego na lekcjach cioci Luizy, ale nie przypuszczał, że pisarz może napisać taką grubą książkę. Wziął książkę ze sobą. I wiedział, że doniesie ją do wioski, tę kartkę z wzorami też. Po chwili namysłu włożył do worka również matczyne pantofelki. Wydawały się o wiele za małe na rozczłapane nożyska matki, ale chciał, żeby je miała.

A ślady ojca, choć oczywiste i dotykalne, nie wiedzieć czemu nie zrobiły na nim większego wrażenia. Pewnie dlatego, że ojca w chwili katastrofy statku nie było w kajucie. Wyszedł z niej o wiele wcześniej. Wyszedł na wachtę, a przedtem posprzątał po sobie, bo nie znosił

nieporządku. Oleg i żona w tym czasie spali. Książki ojca stały równym rządkiem na oszklonej półce, jego rzeczy wisały w szafie. Oleg wyjął z szafy mundur ojca. Pewnie nie nosił go na statku, bo mundur był zupełnie nowy. Granatowa kurtka z dwiema złotymi gwiazdkami na piersi, nad lewą kieszenią i takie same spodnie z cieniutkimi złotymi lampasami. Oleg przyłożył mundur do siebie. Był odrobinę za duży. Wobec tego założył kurtkę munduru na swoją i nieco podwinął rękawy. Spodnie też podwinął. Teraz było w porządku. Ciepło i wygodnie. I nie było też w tym niczego niestosownego, bo przecież gdyby ojciec mieszkał w wiosce i chodził w tym mundurze, na pewno pozwoliliby Olegowi czasami go zakładać.

Teraz już statek ostatecznie należał do Olega. Nawet po powrocie do lasu zawsze będzie za nim tęsknił i zrobi wszystko, żeby tu znów przyjść, tak samo jak tęsknił za statkiem Stary i jak tęsknił Tomasz. W tym też nie było nic złego. Było zwycięstwo starego nauczyciela, który nie chce, aby ci, którzy rosną w wiosce, stali się ością lasu. Teraz Oleg zrozumiał już ostatecznie, jak i dlaczego myślał Stary, a słowa jego nabrały dla niego sensu, który naprawdę poznać można jedynie tutaj.

Oleg domyślił się, że blat stolika można unieść. Zrobił to i na jego wewnętrznej stronie znalazł lustro. Widywał swoje odbicie w spokojnej powierzchni jeziora i w malutkim lustreczku, którego Krystyna strzegła jak źrenicy oka. Ale w dużym zwierciadle nie widział siebie nigdy. Patrzył więc na siebie i czuł rozdwojenie, ale to rozdwojenie nie było nienaturalne, bo przecież tam, za zamkniętymi drzwiami, przed momentem jeszcze był on, malutki Oleg... Nie dopił nawet mleka! A teraz stoi przed lustrem w mundurze ojca. Chociaż teraz zupełnie nie jest podobny do ojca, bo twarz ma odmrożoną, spierzchniętą od wiatru, ciemną, pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami od niedojadania i ostrego klimatu, to jednak wyrósł, wrócił, założył mundur i stał się członkiem załogi statku badawczego "Polus".

W biurku znalazł notes ojca. Połowa kartek była w nim czysta. Co najmniej sto pustych, białych kartek, prawdziwy skarb dla Starego. Będzie można uczyć dzieciaki, rysując na papierze różne rzeczy, żeby zobaczyły i zrozumiały, bo przecież, kiedy podrosną, będą musiały wrócić na statek. Znalazł tam również kilka kolorowych przestrzennych obrazków z widokami ziemskich miast i również je zabrał. Niektóre inne rzeczy były dla niego niezrozumiałe, więc zostawił je w spokoju, wiedział bowiem, że droga powrotna do osiedla będzie trudna. Ale jedną rzecz wziął, gdyż od razu domyślił się, co to jest i zrozumiał, jak bardzo uszczęśliwi ona Siergiejewa i Veitkusa, który rysował ten przedmiot na wilgotnej glinie i wielokrotnie powtarzał: "Nigdy sobie nie wybaczę, że nikt z nas nie wziął blastera. Ani jeden. "Niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty - odpowiadał mu na to Stary. - W tym celu trzeba byłoby wrócić do sterówki, a tam była śmiertelna promieniotwórczość". Okazuje się, że blaster leżał u ojca w biurku. Zimna, ciężka rękojeść broni pasowała do ręki jak ulał.

Żeby sprawdzić, czy blaster jest nabity, Oleg skierował jego wylot na ścianę i nacisnął spust. Z blastera wyskoczyła błyskawica i opaliła ścianę. Oleg zmrużył oczy, ale długo jeszcze pod powiekami wirowały mu iskry. Potem wyszedł na korytarz z blasterem w dłoni. Teraz był nie tylko gospodarzem statku, teraz mógł rozmawiać z lasem jak równy z równym, ostrzegać: nie zaczepiajcie nas, lepiej nas nie zaczepiajcie... .

Na korytarzu zatrzymał się w niezdecydowaniu. Chciał pójść do kabiny nawigacyjnej lub łącznościowej, ale rozsądniej było wrócić do magazynu, bo jeśli Dick i Marianna już tam są, to na pewno będą się niepokoić.

Pobiegł tam, ale magazyn był pusty. Nikt tam nie zaglądał. No cóż, trzeba iść i obudzić tych śpiochów, pomyślał i mimo woli wyobraził sobie, jak stanie przed nimi w mundurze kosmonauty i powie: "Wy tu sobie śpicie, a gwiazdy na nas czekają..."

Nie gasząc pochodni nawet w oświetlonym korytarzu wszedł szybkim krokiem do hangaru i przeciął go na ukos. Tym razem droga okazała się o wiele krótsza niż wczoraj, bo już przyzwyczał się do statku. W przodzie ukazało się jasne światło - pokrywa wjazdu była otwarta. Dick i Marianna zapomnieli go zamknąć. To zresztą tutaj nie było ważne, bo na takiej wysokości i w śniegu żadnych zwierząt pewnie nie było, bo i co niby miałyby tu robić?

Oleg zmrużył oczy i stał tak chwilę, aż oczy przywykną do światła słonecznego. Słońce stało wysoko, noc dawno minęła. Oleg otworzył oczy i przestraszył się.

Nie dostrzegł żadnych śladów Dicka i Marianny, bo padający w nocy śnieg wszystko zasypał i wyrównał. Nic, tylko śnieg, bez jednej chociażby ciemnej plamy.

- Hej! - powiedział półgłosem. Było tak cicho, że strach było tę ciszę zakłócić.

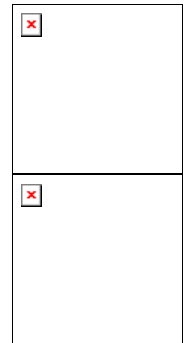
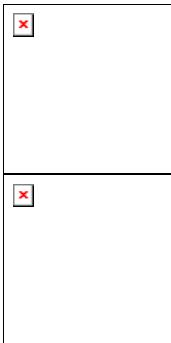
Niemal w tej samej chwili zauważył, jak coś białego poruszyło się w okrągłym cieniu statku, o jakieś dwadzieścia metrów od drabiny.

Była tam niewysoka, obła zaspą. I zwierzę, białe, niemal zlewające się ze śniegiem, jakiego Oleg nigdy przedtem nie widział, podobne do jaszczurki, tylko że kudłate i długie na jakieś cztery metry, ostrożnie rozgrzebywało tę zaspę, jakby bało się spłoszyć zdobycz. Oleg jak zaczarowany patrzył na zwierzę i czekał, co będzie dalej, bo nie kojarzył śnieżnego wzgórzka z miejscem noclegu Dicka i Marianny. Nawet już wtedy, kiedy łapy zwierzęcia zgarnęły śnieg z ciemnej płachty namiotu, nadal stał nieruchomo.

Ale w tym momencie obudził się Dick, który przez sen usłyszał ruch zwierzęcia i poczuł jego obcy, groźny zapach. Chwycił nóż i spróbował

wyskoczyć spod namiotu, ale zaplątał się w kocach. Olegowi wydało się, że zaspą nagle wybuchła, trysnęła w górę strumieniami śniegu i kłębowiskiem futer, a zwierze, zupełnie nie przestraszone tą eksplozją, schwytało szponiastymi łapami skóry i przydusiło je do śniegu.

Oleg-mieszkaniec lasu, wymacywał nóż u pasa i już przygotowywał się do skoku, usiłując wypatrzeć, gdzie ten biały zwierz ma najczulsze miejsce, w które należy wbić żelazo, a Oleg - mieszkaniec statku i syn mechanika, zamiast noża wyszarpnął zza pasa blaster, ale nie wystrzelił. Był wysoko i za daleko. Zeskoczył w śnieg i ściskając broń w rękę, rzucił się w kierunku zwierzęcia. Drapieżnik zobaczył go, uniósł pysk i warknął. Widocznie uznał go za konkurenta do zdobyczy. Wtedy, już nie lękając się trafić Dirka, Oleg zatrzymał się i władował błyskawicę w wyszczerzoną paszczęka zwierzęcia.



Kiedy Dick z Marianną, już najedzeni, ruszyli na obchód statku i zacięli potem znosić do wyjścia i wszystko to, co trzeba było zabrać ze sobą, Oleg wszedł na samą górę, do kabiny nawigacyjnej. Wołał ze sobą Dirka, ale bez skutku - bo tamtemu dość było samej zdobyczy. Nie poszła z nim również Marianna, której pokazał, gdzie znajduje się szpitalik. Siedziała tam teraz i wybierała lekarstwa oraz narzędzia, które opisała jej Aggie. A trzeba się było naprawdę spieszyć, bo znów zaczął padać śnieg i wyraźnie się oziębilo. Jeszcze dzień i z gór nie można się będzie wydostać. Śnieg będzie walił przez wiele dni, a temperatura spadnie do minus pięćdziesięciu stopni. Dlatego właśnie Oleg znalazł się w kabinie nawigacyjnej sam.

Postał chwilę w niezwykłym otoczeniu aparatów w samym środku statku, którego stworzenie było nie do pomyślenia bez milionów ludzkich umysłów i całych tysięcy ziemskiej cywilizacji. Oleg nie odczuwał ani przerażenia; ani beznadziejności. Wiedział, że teraz wioska, przynajmniej dla niego, przestała być pępkiem świata, że przekształciła się co najwyżej w prowizoryczną, tymczasową kryjówkę na te parę lat, zanim statek nie stanie się prawdziwym domem, zanim ale zrozumieją go na tyle, aby przy jego pomocy znaleźć sposób zawiadomienia o sobie Ziemi. A w tym celu konieczne jest, starsi mówili o tym tysiące razy, przywrócenie awaryjnej łączności. Niech to będzie nie teraz, niech to będzie za wiele lat, bo tego przecież trzeba się

nauczyć. Oleg wszedł do kabiny radiowej, bo Stary powiedział mu, gdzie znajdzie informatory i instrukcje łącznościowe, które trzeba przeczytać i zrozumieć dopóki jeszcze żyje Stary i Siergiejew, którzy mogą pomóc Olegowi i tym, którzy przyjdą po Olegu.

W kabinie radiowej panował półmrok i dlatego Oleg nie od razu znalazł skrzynię z kompletem instrukcji. Wyjął książki. Było ich całe mnóstwo i nie wiadomo, która z nich była ważniejsza... Oleg wiedział jedno: prędzej wyrzuci pantofelki matki niż te książki. Bardzo chciałby wziąć ze sobą również nieco części i najprzydatniejszych narzędzi, ale wiedział, że trzeba to odłożyć do następnego razu, kiedy pojmie sens i znaczenie wszystkich tych ekranów i tablic rozdzielczych. No dobrze, można iść...

Kiedy już zabierał się do wyjścia, jego uwagę przykuło słabe migotanie na bocznym pulpicie, przysłoniętym przez fotel operatora. Oleg ostrożnie, jak do dzikiego zwierza, zbliżył się do tego miejsca. Na pulpicie miarowo rozbłyskiwało zielone światełko. Zapalało się i gasło.

Oleg spróbował zajrzeć za skośną tablic, żeby zrozumieć dlaczego tak się dzieje, ale nic z tego nie wyszło, wtedy usiadł w fotelu i zaczął naciskać guziki na tablicy. Nadal nic się nie zmieniało. Światelko migotało nadal. Co to znaczy? Po co to światełko? Kto je zostawił? Komu ono jest potrzebne? Dotknął dźwigienki, która lekko przesunęła się w prawo. I wtedy zza cienkiej siatki obok światełka rozległ się cichy ludzki głos:

- Mówi Ziemia... Mówi Ziemia... - Potem pisk do taktu z migocącym światełkiem, pisk pełen jakiegoś niezrozumiałego sensu, a po minucie znowu:

- Mówi Ziemia... Mówi Ziemia.

Oleg stracił poczucie czasu. Wciąż od nowa czekał na głos, któremu nie mógł odpowiedzieć, lecz który wiązał go z przyszłością, z chwilą, w której będzie mógł odpowiedzieć.

Do rzeczywistości przywołał go dzwoneczek zegarka narocznego, który Dick znalazł w swojej kabinie i oddał mu. Zegarek dzwonił co piętnaście minut. Może tak powinno być, a może zegarek był po prostu zepsuty.

Oleg wstał i powiedział głosowi Ziemi:

- Do widzenia.

I ruszył w stronę wyjścia ze statku, ciągnąc za sobą pół worka instrukcji i podręczników, z których nie rozumiał nawet słowa.

Dick i Marianna już na niego czekali pod włazem.

- Już chciałem po ciebie iść - powiedział Dick. - Chcesz tu dostać na zawsze?

- Chętnie bym został - odpowiedział Oleg.

- Słyszałem, jak mówi Ziemia.

- Gdzie?! - wykrzyknęła Marianna.

- W kabinie radiowej:

- Powiedziałeś jej, że tu jesteśmy?

- Oni nie słyszą. To tylko jakiś automat. Łączność przecież nie działa, zapomniałaś?

- A może teraz sama się Zreperowała?

- Nie - odpowiedział Oleg. - Ale na pewno będzie działać.

- Ty to zrobisz?

- Patrz - pokazał Oleg na worek z książkami. - Ja się tego wszystkiego nauczę.

Dick mruknął coś pod nosem.

- Diick- przeciągnęła błagalnie Marianna. - Ja tylko polecę tam i posłucham głosu. Na jednej nodze. Chodźmy razem, co?

- Kto to wszystko będzie niósł - powiedział kłótliwie Dick, patrząc na worek z książkami. - Wiesz, ile śniegu jest na przełęczy.

Znów czuł się najważniejszy. Zza pasa sterczała mu rękojeść blastera, ale kuszy rzecz jasna nie wyrzucił.

- Doniosę - powiedział Oleg i położył worek na śniegu. - Chodź, Marianna, posłuchasz głosu. Tym bardziej że oczywiście zapomniałem o najważniejszej rzeczy. W szpitalu jest jakiś niewielki mikroskop.

- I to nie jeden - odpowiedziała dziewczyna.

- Dobra - powiedział Dick. - To i ja pójdę z wami.

<input type="checkbox"/>
<input type="checkbox"/>

<input type="checkbox"/>
<input type="checkbox"/>

Zapręgli się w trójkę do sań i ciągnęli je najpierw w górę stromym zboczem kotliny, potem przez płaskowyż, a wreszcie w dół. Padał śnieg i iść było bardzo trudno. Nie było jednak zbyt wielkiego mrozu i było mnóstwo jedzenia. Pustych puszek po konserwach nie wyrzucali.

Na czwarty dzień, kiedy zaczęli schodzić ciasną doliną potoku, usłyszeli nagle znajome beczenie. Koza leżała pod skalnym nawisem nad samą wodą.

- Czekala na nasi - krzyknęła Marianna.

Koza wychudła na szkielet i wyglądała tak, jakby miała za moment zdechnąć. Trzy puszyste kozłatka usiłowały dobrać się jej do sutek.

Marianna szybko odrzuciła namiot okrywający sanie i zaczęła szukać w workach jakiegoś pożywienia dla kozy.

- Tylko jej nie otruj!- powiedział Oleg. Koza wydała mu się bardzo ładna. Ucieszył się na jej widok prawie tak samo jak Marianna. I nawet Dick się nie złościł, bo był człowiekiem sprawiedliwym.

- To dobrze, żeś mi uciekła - powiedział. - Na pewno bym cię zabił, a tak, to cię teraz zaprzężemy.

Inna rzecz, że kozy nie udało się zaprząć do sań. Bydlę nadymało trąbę i wrzeszczało tak, że aż skały się trzęsły, a w dodatku kozłeta zaczęły wtórować matce.

Poszli więc dalej tak: Dick z Olegiem ciągnęli sanie, Marianna podtrzymywała je z tyłu, a na końcu szła koza z małymi i żebrała, bo ciągle chwała jej się jeść. Nawet kiedy weszli do lasu, gdzie były grzyby i korzonki, nadal dopominała się skondensowanego mleka. Chociaż tak samo jak ludzie nie wiedziała jeszcze, że ta biała słodka masa nazywa się skondensowanym mlekiem.

....

przekład : Tadeusz Gosk



powrót

